Nr. 1. Lwów, dnia 1. Stycznia 1885. Rok VIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

NA ROK NOWY.

Siódmy rok upłynął naszego działania, pomyślny może w szerzeniu naszych celów, w rozwijaniu się łowiectwa krajowego, na ktore już powszechna zwrócona uwaga, jako na źródło, z którego istotny pożytek dla dobra powszechnego wytrysnąć może; ale niepomyślny pod innym względem. Klęska powodzi, jaka nawidziła kraj nasz, dotąd mimo usilnych starań podźwignienia jego zasobów, nie bogaty, stała się także klęską dla naszego zwierzostanu. Krocie tysięcy lęgów ptactwa błotnego i wodnego uniosły rozszalałe fale, bezpieczne pielesze jego stały się niedostępnemi. Wzburzone wody zagroziły nawet czworonożnej zwierzynie, z której niemała część wyginęła w ich nurtach, inna zaś część znalazła w zamulonej i przegniłej roślinności pożywienie, które rozwinęło choroby, dziesiątkujące nasz zwierzostan. Zwierzęta tylko z natury silne mogły oprzeć się tej nawalnej klęsce, owszem rozmnożyły się znaczniej, jak zwykle, i niemałą szkodę wyrządzają rolnictwu i leśnictwu krajowemu. Toż niemal powszechne odzywają się skargi, wychodzące szczególnie od włościan, na szkody, jakie im wyrządzają dziki, mniej wilki i niedźwiedzie, które jako srogie drapieżniki prześladowane są gorliwie w ostojach i gniazdach, i w znaczniejszej liczbie rozmnożyć się nie mogą. Sprawa ta podniesioną została nawet na Sejmie naszym w wniosku posła Romańczuka, w którym tenże w imieniu włościan wykazał szkody, jakie zwierzęta leśne czynią w ziemiopłodach i bydle domowem i domagał się udzielenia paszportów na broń zagrożonym gospodarzom, oddawania przy licytacyach prawa polowania gminom, i wynagradzania szkód przez zwierzynę zrządzonych. Sprawozdanie komisyi sejmowej, której ów wniosek oddany został do ocenienia, wykazuje dosadnie, że wymagania wyrażone w wniosku nie mają racyonalnej i prawnej podstawy i że jedynie wynagradzanie szkód zrządzonych przez zwierzynę w ogóle, a w szczególności przez zwierzynę drapieżną, powinno być unormowane ustawą, zmieniającą ustawodawstwo obecne.

Nie mniejsze są narzekania leśników na szkody czynione przez sarny w kulturach leśnych. Ostatni ich zjazd, odbyty w Przemyślu, rozważał tę sprawę dokładnie. Zdania były podzielone, jedni pragnęli pozbyć się

szkodników przez wybijanie ich, drudzy chcieli tylko zaradzić szkodom i szukali w tym celu odpowiednich środków. Ostatecznie przeważył gruntownie i umiejętnie opracowany referat p. Kaźmirza Remiszewskiego, dotyczący tej sprawy. Utwierdziło się na podstawie tego referatu przekonanie, że leśnictwo i łowiectwo stanowią organiczną całość, że zwierzyna jest nietylko ozdobą lasów i ową siłą adtrakcyjną, która zawodowych pracowników w gospodarstwie leśnem pociąga ku nim, ale też duszą ożywiającą czy to małe obszary czy też bezmierne puszcze leśne. Odnosi się to twierdzenie szczególnie do zwierzyny pożytecznej, którą leśnik i myśliwy do pewnej racyonalnej miary ochraniać i rozmnażać powinien. Szkody, jakie ona czyni, są w stosunku do jej pożyteczności, powabu i ożywiających właściwości, nie wiele znaczące, dadzą się one usunąć w wielkiej części środkami, które Zjazd wskazywał lub praktyczni leśnicy i myśliwi, miłujący swój zawód i przyrodę, w przyszłości jeszcze wskażą. Że przedewszystkiem szkodom tym zapobiedz może troskliwa opieka nad tymi pożytecznymi i powabnymi mieszkańcami lasów, jest rzeczą niezawodną. Jeżeli sarna znajdzie odpowiedni żer, w porze głodu podrzucony, jeżeli podłożonemi lizawkami wzmocni swój organizm, to nie pokusi się o drobne pędy drzewne, nie podlegnie chorobom, zdrowa, silna, z dorodnym płodem swoim stanie się okrasą życia i zawodu leśnika i myśliwego, a las bujnie rozradzać będzie drzewostan i pożytek. Niektórzy leśnicy w celu ochronienia swych kultur, niektórzy myśliwi dla zapewnienia zdrowej progenitury rodu zwierzyny płowej, radzą wybijać stare, jałowe kozy, które tylko za jakimkolwiek żerem się upędzają i bezpożytecznie wysilają samców. Rada w zasadzie słuszna i praktyczna — ale jeszcze nie dla nas. Jeszcze się w kraju naszym ród sarni nie rozrodził do takiej liczby, iżby nadmiar jego dotkliwie uczuć się dawał. Jeszcze łowiectwo u nas, mimo usilnych starań, nie stanęło na takiej stopie, iżby wprowadzona w życie zasada ta nie pociągnęła za sobą nadużyć w wykonywaniu jej. Nie mamy nauki łowiectwa w Szkole lasowej, nie mamy w ogóle umiejętnie wykształconych leśników-myśliwych, którzyby uzyskane pozwolenie wybijania starych, jałowych kóz, ściśle, z całem znawstwem rzeczy wykonywali. Wys. c. k. Namiestnictwo odnosi się z każdą petycyą o pozwolenie wybijania kóz do Wydziału galic. Towarzystwa łowieckiego, domagając się od niego słusznie objaśnienia i opinii w takim wypadku. Wydział zawsze dotąd na podstawie własnych wiadomości lub zasięganych od delegatów wskazanych powiatów, musiał oprzeć się petycyom, a to głównie z tego powodu, iż petenci nie dawali żadnej rękojmi ścisłego i umiejętnego wykonywania uzyskanego pozwolenia, które w takim razie posłużyłoby tylko do szerzenia kłusownictwa i demoralizacyi lub dogadzałoby pożądliwości swobodnego pozyskania zwierzyny na stół. Nigdy nie zdarzyło się nam spotkać z taką petycyą, pochodzącą od posiadaczy obszarów łownych, w których gospodarstwo myśliwskie jest umiejętnie i troskliwie prowadzone, co też wymownie świadczy, że nie ma u nas jeszcze koniecznej potrzeby używania tego ochronnego środka, lub że ci racyonalni myśliwi obawiają się, iżby za ich przykładem to wybijanie kóz za nadto się nie rozszerzyło i nie dało powodu do wyżej przez nas wskazanego szerzenia się kłusownictwa i demoralizacyi. Z tego naszego wywodu wynika jasno, że takie wybijanie niepożytecznych okazów rodu sarniego, może się odbywać tylko tam, gdzie jest pewność ścisłego wykonania uzyskanego pozwolenia, bądź to na podchodnem, bądź na urządzanych polowaniach, przez wytrawnych myśliwych. W innym razie byłby cel zupełnie chybiony.

Oto pobieżne uwagi w sprawie ważnej dla naszego myśliwstwa, które oddajemy rozwadze członków Towarzystwa, i sądzimy, że sąd ich nie wiele od naszego odbiegnie.

Przejdźmy do spraw bieżących.

K o n g r e s m y ś l i w s k i, któremu w roku ubiegłym torowała drogę narada wstępna, odbyta w Wiedniu, zapowiedziano na koniec Października r. u. Wydział nasz uprosił dla tego Kongresu delegata, który brał udział w przeszłorocznej naradzie wstępnej, więc dokładnie obznajomiony jest z celem kongresu. Wydział na zapytanie, czy i kiedy to Walne zebranie myśliwych monarchii przedlitawskiej odbyć się ma, nie otrzymał żadnej odpowiedzi. W każdym razie ważna to sprawa i dla naszego myśliwstwa, szczególnie pod względem ustawodawczym. Członkowie galic. Towarzystwa łowieckiego niech przyjmą w niej udział nadsyłaniem swych uwag, które będą dyrektywą dla naszego delegata.

Od dawna zwracał Wydział uwagę swoją na konieczną potrzebę r e f o r m y U s t a w y ł o w i e c k i e j, nie spieszył się jednak z wykonaniem jej wyczekując, iżby praktyka wykazała wszelkie ujemności. Obecnie praca ta oddana członkom Wydziału hr. Tadeuszowi Dzieduszyckiemu i Drowi E. Roińskiemu, którzy niezawodnie wywiążą się nader pożytecznie z przyjętego obowiązku. Kolumny „Łowca“ mieszczą już w sobie wiele w tym celu cennych wskazówek, nie wątpimy, iż pomnożą się one jeszcze znacznie.

„K a l e n d a r z m y ś l i w s k i i r y b a c k i n a r. 1885“ oddaliśmy już na użytek myśliwych. W redakcyi korzystaliśmy z uwag przesłanych „Łowcowi“ w celu uzupełnienia i poprawy jego. Mamy nadzieję, że z każdym

rokiem stawać się on będzie poprawniejszym i pożyteczniejszym pod strażą troskliwych o wartość jego członków Towarzystwa łowieckiego.

Niemniej od Kalendarza byłby dla myśliwych pożądanym „Przewodnik myśliwski“, dający rady i wskazówki w każdej potrzebie. Przewodnik taki musiałby obejmować całość nauki łowieckiej, systematycznie i umiejętnie ułożoną. Służyłby on nietylko myśliwym, ale też nauczycielowi jako podstawa do wykładu nauki łowiectwa i uczniom jako przedmiot nauki. Materyału do zbudowania takiego przewodnika mamy dosyć, terminologii nie brak, jakoteż ludzi do podjęcia takiego zadania zupełnie usposobionych. Więc tylko dobrej woli potrzeba, aby to nader pożyteczne dzieło wyszło wkrótce z dziedziny marzeń i zasiliło naszych myśliwych i młodzież, oddającą się nauce leśnictwa, fachową wiedzą. Zdaje się nam, że stworzyć można to dzieło tylko *viribus unitis*, połączonemi siłami. Czyż nie zespoliłoby się w tym celu grono pracowników, którzyby rozebrali działy do opracowania, a następnie poddali prace swoje ostatecznej redakcyi w celu zharmonizowania i uorganizowania całości? Oddajemy projekt ów rozwadze światłych członków Towarzystwa łowieckiego przekonani, że rzucone to ziarno padnie na urodzajną glebę i wkrótce wyda plon.

Instytucya delegatów galic. Towarzystwa łowieckiego już dziś wykazuje realny pożytek. Cennym jest ona pośrednikiem w każdym wypadku. Jej to głownie zawdzięczamy zasiłki, jakie „Łowiec“ otrzymuje, ona jest żywym wyrazem naszych dążeń w całym kraju, bez niej nie rozchodziłyby się promienie naszego działania. Z całem uznaniem dla naszych delegatów wzywamy ich, by ogół naszej społeczności myśliwskiej oświecali o swojem działaniu i o stanie łowiectwa w kraju w sprawozdaniach, nadsyłanych do „Łowca“.

W końcu zwracamy się do czytelników, a szczególnie do naszych współpracowników. Pierwsi uznaniem naszych dobrych chęci podniecają nas do wytrwania w pracy, podjętej w celu krzewienia dobra publicznego na polu łowieckiem, drudzy usilnie wspierają nas w trudach, oni są ciałem i duszą tego Pisma, które od lat siedmiu szerzy istotny pożytek. Od ich dobrej woli zależy dalszy rozwój naszych dążeń, i nie wątpimy, że wspierać nas nie przestaną. My myśliwi stanowimy jakoby jedną rodzinę, zgodnie do wspólnego dążącą celu, utworzyliśmy organ, którym do siebie przemawiamy, szerzymy naukę, praktyczną wiedzę i dajemy obraz łowiectwa krajowego tak w szerokich zarysach jakoteż w drobnych jego odcieniach. Utrwaliliśmy byt nasz, — żaden fałszywy akord nie zmięszał harmonii naszych dążeń, żyjemy, bo życie nasze jest potrzebą konieczności.

Tem przekonaniem ożywieni zwracamy się do naszych czytelników w dniu rozpoczynającego się nowego roku z szczerem życzeniem, aby on darzył ich pomyślnością, swobodą i radością, aby życie czy to publiczne czy prywatne ścieliło się im kwiatami i ich wonią, a zawód myśliwski nie chmurzył ich duszy w spotkaniach z ową psotliwą „Silwanką“, której uroczy a zarazem wstrętny obraz dał nam hr. Kaźmirz Wodzicki.

Więc po dawnemu zasyłamy serdeczne:

Szczęść Boże!

OKIŚĆ

PRZEZ

Kaźmirza hr. Wodzickiego.

Przyroda wyrządza nam dokuczliwą psotę okiścią, zamurowuje las, zamyka go i przystępu nie dozwala, jak gdyby ogłaszała zakaz polowania, drażni myśliwego, trapi i głodzi zwierzynę, uparta i wytrwała w swej zaciętości często przez całe tygodnie usuwa nam miłą rozrywkę. Posiada ona wobec nas jeszcze inną broń, lecz o wiele słabszą, i chroni nią zwierzynę od prześladowania. Tą bronią jest szron, wytworzony nocną mroźną mgłą, czepiającą się liści i gałęzi. Szron jednak lasu nie zamuruje, okiść zaś zalepia, szczególnie w lasach szpilkowych, drzewa i krzaki, wytwarza śnieżne ściany, piramidy, kopce, kopiaki i białe kępy, leśne monumenty, niekiedy potworne postacie skamieniałe, opiera się wiatrom i promieniom słońca, a usuwa ją jedynie ciepła temperatura. Dziwnie się zawsze rozpoczyna, potrzebuje dłuższego czasu do ukończenia swej szkodliwej roboty, nie tak jak szron, który w jednej nocy zalega w całym lesie. Naprzód deszcz kostnieje, przechodzi w skrzepły płyn, zamienia się w mokry grad, wnet bieleje, czepia się gałęzi, ściąga listki w bukiet, zaplata drobne gałązki, sypie białe wstęgi po gałęziach i konarach, spadły znowu świeżym zastąpiony śniegiem. Ta igraszka wymaga wiatru, nie brak go też u nas dla powiększenia klęsk, huczy więc, piszczy i jęczy. Tylko swej giętkości zawdzięczają drzewka życie, pogięte, poplątane, w kabłąki wygięte, tłoczone do ziemi, skrępowane dają obraz jakoby więźniów leśnych w kajdanach. Krzaki liściaste grabiny i buczyny,

zupełnie zalepione, stoją okrągłe jak w płótno owinięte kopce. Wspaniałe dęby, owe bohatery lasów, nie zrzuciwszy zwiędniałych liści, ufne w swe siły, potężnemi ramionami bronią się przeciw gniotącemu śniegowi, trzęsą gałęziami, szumią żałośnie, kołyszą wspaniałe korony. Wiatr, umiejętny robotnik, sypie śniegiem na liście, wytwarza białe grudki, lepi je z sobą, okrywa niemi gałęzie i konary, oblepia wierzchołki, — więc próżna walka, niemocą dotknięte siły olbrzyma. Ciężar rośnie, wzmagają się zaspy na konarach, które trzeszczą, uginają się, łamią i w końcu padają na ziemię. Ów drobny pyłek, z atomów złożony, pokonał stoletniego starca, mocarza lasu!

Wiatr dmie śniegiem, sypie nim bez miary, lgnie i lepi się gdzie może, a posiada tego materyału zapas wielki, bo zasiał nim ziemię, krzaki, drzewa całe aż do wierzchołków, a w tej pracy wyje i jęczy, jak gdyby świadomy był popełnionej zbrodni. Miecie śniegiem w dzień, a noc przeznaczona do ukończenia roboty, i oto rano widzimy obraz wstrętny białego całunu śmierci. Nalepił na liściach i gałęziach grube warstwy śniegu i na nim lepi dalej, zwiększa się ciężar, drzewka uginają się, gałęzie się chylą, on sypie bez wytchnienia, ciśnie i tłoczy wszystko ku ziemi, splata wierzchołki, pląta drzewka z krzakami, wiąże je, a na tak silną już podstawę prószy dalej śniegiem, wytwarzają się najfantastyczniejsze kształty w bieli, jakby w śmiertelnej koszuli. Las się broni, miota, strząsa ciężar, lecz to walka nierówna, mokra, gęsta, lodowata mąka ołowianym ciężarem gnie, tłoczy i łamie, młodzież wreszcie na ziemię wali. Walka skończona, las pokonany poddaje się okiści, obsiadającej wszystko, co sterczy i rośnie. Trawek, roślin, pokrzyw, ostów, łodyg, spirei nikt nie ujrzy, one już w początku walki przykryte zostały białym całunem.

W szpilkowych lasach klęska ta jeszcze jest większą. Mokry śnieg lepi na drzewach szpilkę z szpilką, lepi ich tysiące i krocie, wreszcie zalepia zupełnie konar w kształcie olbrzymiego ogona, ubezwładnia i zmusza do kornej, schylonej postaci. Wiatr kołysze drzewo o drzewo, gałęź o gałęź, ciężarem gniecioną, łączą się z sobą, zlepiają, a te drzewa, konary i gałęzie wytwarzają wreszcie jedną całość. Młodzież szpilkowa nie broni się wcale, gęste szpilki, kędzierzawe gałązki chwytają pierwsze pyłki i wnet stają zupełnie białe kopce lub piramidy. W takich lasach urąga okiść naszej ciekawości, i w swych wnętrzach przechowuje bezpieczną zwierzynę, zapuściła kurtynę i aktorów nam nie ukaże. Choćbyś świdrował argusowem okiem, chylił i wyginał twą postać, przysiadał i obchodził, szukał wolnej drogi, otwartej przestrzeni, patrzał po ziemi, przez krzaki, płonne będą twoje wysilenia, przed tobą jedna ściana, jeden mur, a w tobie troska, zwątpienie i zniechęcenie.*)

Widok dróg, przerębów i ścieżek przerażający, wiszą nad niemi śnieżne wały, grożące upadkiem w skutek najlżejszego potrącenia, jakoby górskie lawiny. Drzewa w poprzek położone, młodsze powyginane, pokabłączone, poplątane i do ziemi nachylone, a każde grozi przechodzącemu śnieżną lawiną, co też się dzieje, bo spada śnieg myśliwemu w lufy, na twarz i za kołnierz. Możnaby z Rejem powtórzyć: „Lepszej rozkoszy używa, co sobie w ciepłej izbie siedzi, grzanki do piwa kraje, niż ten, co sam nie wie, czego szuka, a okiść mu za szyję pada“. Prawdę pożyteczną głosi Rej, ale myśliwych ciągnie i po wieki ciągnąć będzie do zaśnieżonego lasu licho, kuszące nieustannie do szukania różnorodnych rozkoszy łowieckich.

Nie chcę mówić o polowaniach w szpilkowych lasach z okiścią, bo to istna męka Tantala wobec tych śnieżnych ścian, a ja nigdy nie próbowałem głową muru rozbijać, i zachęcać do tego nikogo nie chcę. Powiem raczej o łowach w lasach liściastych, przeważnie już z liści ogołoconych. Gdy naganiacze mają na głowie kaptury pod szyją związane, w żołądku wódeczkę, tę prawdziwą *aquam vitae* naszego ludu, to śmiało się oni rzucają w ten śnieżny labirynt. Giną, błądzą, topią się klnąc i narzekając, ale jednak wypędzają zwierzynę nawet w najniekorzystniejszych warunkach. Polowanie to posiada powab tajemniczości, zagadkowe jest, urocze, ciche, żywo duszę poruszające, nie wydatne, a czarujące, niezmiernie długo trwające, a wytężające uwagę do samego końca. Przed nami kurtyna przezroczysta, z jakiejś jaskrawej tkaniny uprzędzona, przez którą spada śnieżna mączka, niby puder czy piasek lekki, to znowu plaster odrywa się od gałęzi i z szumem spada ku ziemi, niektóre drzewa zdołały zrzucić gniotący je ciężar, i te miniaturowe lawiny przykuwają naszą uwagę. Gdy niebo swój blask zasłoni, mgłą przyćmi ziemię, a w miocie zwierz się nie rusza, wtedy smutno, tęskno, markotno i zimno na tem leśnem cmentarzysku, i mimowoli przypominają się słowa Reja; lecz gdy rozrzuci swe promienie, to las się zaiskrzy, martwe śnieżne wstęgi, warkocze, plastry, grudki i kulki, nowem życiem ożywione promienieją, uśmiechają się do słońca, szerzą jasne oświe-

*) Gdyśmy raz wracali z polowania wieczorem, obładowani grubą zwierzyną, doniósł nam dozorca, że rano weszły do miotu trzy wilki, ale miotu w koło nie obszedł. Nie było pewności, a noc wisiała nad nami, lecz młodzież zawołała chórem: „Brać miot!“ Staję w rowie wobec dwóch białych piramid, a nawet na kilka kroków w głąb wzroku zapuścić nie mogę, bo na lewo i na prawo podnoszą się białe ściany. Spełniając ściśle mój myśliwski obowiązek, lubo wolno było strzelać do wszelkiej zwierzyny, naciągam kaptur na głowę, chowam ręce w zarękawek i staję jak francuski żołnierz z pod Berezyny, spoglądając poza siebie na drogę dosyć szeroką. Gon się rozpoczął, głosy giną w okiści, wiatr wieje, śnieg oczy zalepia, a słońce krwawym uśmiechem żegna. W tem na brzegu rowku o kilka cali przedemną staje ogromne wilczysko, chyli się na przednie łapy i patrzy mi w oczy o stopę odległości. Sekundę tylko trwało moje rozumowanie, składam się szybko, lecz wilk jeszcze rychlej utonął w śnieżnej otchłani, a ja w nerwowem wzruszeniu strzeliłem sobie pod nogi. Jak przyszedł cicho, tak też odszedł, istny *deus ex machina*, żar jakiś przejął moje ciało, a w duszy było mi bardzo markotno. Czy tam w miocie było wilkowi niedogodnie, czy też pędził go popęd wędrówki, tego nie wiem. Po chwili sadzi przez drogę, strzelam na 50 kroków odległości, ale wilk bez utknięcia galopuje dalej. Tego dnia jednak sprzyjała nam Silwanka, bo pomimo okiści i zmroku dostały się wszystkie trzy wilki pod lufy. Mojego znaleziono rano w pierwszym parowie, starą wilczycę zabił mój sąsiad, a trzeciemu odstrzelono zadnią nogę, więc bez niej włóczył się na trzech nogach przez całą zimę.

Drugie zdarzenie tkwi równie silnie w mojej pamięci. Stałem wobec dwóch zaśnieżonych wysokich kopców świerczyny nic nie widząc przed sobą, ale między temi piramidami było pole otwarte na szerokość metra, a poza niemi zamurowany gąszcz. Coś mi błysło, złożyłem się, a gdy się jakieś stworzenie wychylać poczęło, strzeliłem, poczem ruch wszelki znikł. Stałem nieruchomy podczas przeganiania całego miotu, zadając sobie nieustannie pytanie, co też zabiłem? Gdy naganiacze doszli, wynieśli mi wielką radość — wilka, który zanurzając się w miękkim śniegu wydawał mi się zającem lub borsukiem.

tlenie, przeistaczając nieustannie swe barwy. Dziwna poezya w tym lesie! Tam kupka mieniących się opalów, tu zaświeci rubin, dalej brylanty najczystszej wody, wszystko w ruchu, jakiś pas ognisty przed oczami, to znowu płowy i niebieski, jak odblask sklepienia niebios. To niby atomy klejnotów, zmieniających swe barwy, nikną na chwilę, aby znowu zabłysnąć i rozpromienić. Jaskrawość obrazu napełnia oczy łzami, uczucie się wznosi wysoko do źródła piękna, umysł podziwia, a pamięć pragnie zachować ów uroczy obrazek.

Zwierz mnie, ja zwierza nie widzę, lecz to białe tło ściąga ku sobie uwagę, znaczy się ruch najmniejszy, z łatwością dostrzeżony. Zwierzę wiedzie instynkt zachowawczy, nas doświadczenie, rozwaga, zimna krew. Zwierzyna zna grozę niebezpieczeństwa, nie skacze, nie pędzi, przeciwnie z wytężoną uwagą postępuje wolno, wysila słuch i wzrok, nawet wypłoszony zając nie pomyka tak szybko, jak zwykle, przysiada co chwila, kołkuje, podnosi się na skokach, rekognoskuje, nadstawia słuchy, wytrzeszcza ślepia, rozbudzona jego trwożliwa uwaga. Skoczył i zanurzył się w śniegu, potrącił o drzewko i już cały przysypany, sterczą zaledwie poruszające się słuchy, znowu podskoczył, błysnęła płowa plamka i znikła, po chwili wysuwa się jego postać w opłakanym stanie: boczkami robi, roztwiera nozdrza, nadyma policzki, wąsami rusza, mordeczką stroi grymasy, siada i przedniemi skokami myje zasypane ślepia, słuchy zwraca na wszystkie strony, widocznie myśli: „źle ze mną“. Zastrzelony ginie w otchłani śnieżnej, często trudno go odszukać. Trudno zajączkom ułożyć plan ucieczki, jeszcze trudniej go wykonać, w tak wyjątkowych warunkach nie widzi, nie słyszy, tonąc w śniegu, instynktowo przeczuwa śmierć przed sobą, groźne niebezpieczeństwo poza sobą. Na szczęście tych zwierzątek, płacących nam największy haracz z lasów, przeważna część strzelców mierząc w zające góruje. Te skoki szaraka, znikanie, ta odmienna postać i manewry, dają nam podwójną przyjemność przy ubiciu jego w okiści.

Liszka niechętnie opuszcza jamę, lecz w norze zaducha, śnieg grubą warstwą przysypał ziemię, z powodu długotrwałej zadymki, głód srodze dokucza, zapasów nie ma, myszki skryły się w dziurach, ptaszków nie ma, jak gdyby wymarły. Żyć trzeba, cóż pomoże zwlekanie, nie ma rady, konieczność każe wyruszyć na łowy i zamoczyć futerko. Ciężki jej zarobek, w tej niedoli mogłaby się do socyalistów przyłączyć, lecz to zwierz zmyślny i przezorny, sięga pamięcią do kryjówek zajęczych, wie, gdzie który siadywał, pełza więc jak kot, płynie wolno po śniegu śledząc bystrem okiem wszelki ruch, weźmie zająca, byle go ruszyć. Szybko on wyskoczy, ale zaraz przysiądzie i tak się stanie po każdym skoku, liszka w trop za nim idzie bez szmeru, a z dogodnej odległości jednym susem wpada na lamentującego kota.*)

Wśród tej bieli przedstawia liszka uroczy widok, z daleka zdawałoby się widzieć toczące się pomarańcze. Jej ruch wolny, to łapkę podniesie i trzyma ją w górze, to spuści i podniesie drugą, wtedy najbardziej wytęża słuch i wzrok. Nie bada przedmiotów, nie wpatruje się w nie, śledzi tylko ruchy, więc gdy myśliwy stoi w posągowej postaci, to lis przyjdzie mu pod nogi, coby mogło być świadectwem, że okiść odbiera mu wiatr. Pocieszna jego postać, gdy wśród takiej mokrej wędrówki pragnie otrząść śnieg ze swego futra, wtedy jak pies trzęsie włosem, trzepie się, w końcu podnosi w *S* wygiętą kitę i macha nią kilkakrotnie. Zdarza się też na mokrym śniegu, że bryłki lodu przyczepią się do łapek i futra, wtedy siada lub kładzie się i zębami wyrywa je. Gdy idzie czyli pełza, to nóg spostrzedz nie można, porusza się niekształtny pasek pomarańczowy na białem tle, znika, znowu się pojawia, to większy to mniejszy, spłoszony nurkuje w śniegu, a w skokach podnosi kitę do góry.

Sarny zapominają o swych uroczych skokach, tych lansadach tak miłych dla oka, z łyżkami naprzód wzniesionemi wietrzą ale nic zwietrzyć nie mogą, posuwają się naprzód wolno, stają, nadsłuchują, wracają ku nagance i znowu kroczą ku myśliwym, podchodzą pod ośnieżone drzewka lub przeskakują otrząsając z siebie śnieg, niekiedy się kładą bez zwrócenia na siebie uwagi naganki, czasem też zrywają się i po kilku skokach stają śledząc ruch w koło siebie z widoczną trwogą i wytężoną uwagą.

Nic nie sprawiało na mnie tak silnego wrażenia, jak otrząsanie śniegu z drzewek w miocie przez jakąś niewidzialną istotę. Kto trzęsie i kto się tam rusza? Czy wiatr, może złodziej leśny wykradający się, ale niezawodnie jakieś żyjące stworzenie, gdyż widzę spadającą okiść, widzę otrzęsane drzewka, widzę ruch, który na polowaniu tak silne wywiera wrażenie. Wreszcie po męczącem, wzruszającem oczekiwaniu, trwającem wieki, spostrzegam na tej przezroczystej tkance postać zmieniającą barwę i rozmiary, to czarną, to siwą, olbrzymią, to znowu małą. Zbliża się wolno, pruje zaśnieżone gąszcze, ryjem zrzuca okiść, kadłubem trąca o drzewka i gałęzie, na grzbiecie ma wał śniegu, między uszami kopczyk biały — to dzik. On w takim lesie nie wietrzy, nie podnosi ryja, on słucha z wytężoną uwagą, a okiem śledzi ruch w koło siebie, spostrzeże najlżejszy ruch i rzuci się poza białe ściany miotu, urągając wysłanej za nim kuli. Nader dziwną jest zmiana zwyczajów dzików podczas okiści, gdy zwykle zawdzięczają życie podziwienia godnemu wiatrowi i nader bystremu słuchowi, to w czasie okiści kierują się jedynie wzrokiem.

---

*) Kilkakrotnie przypatrywałem się temu polowaniu w czasie okiści i podziwiałem odwagę i zręczność lisa. Niekiedy łowił zająca przed naganiaczami lub na linii strzelców, a raz niósł go w mordeczce, czyli raczej ciągnął za sobą. Lament zająca w lesie powinien myśliwego zachęcić do poszukiwania, aby szkodnikowi odebrać zdobycz. Przypominam sobie skaczącego ku mnie zająca, tonącego w śniegu, składam się i strzelam, a zabijam lisa. Pokazało się, że lis gonił zająca, a w chwili strzału, gdy zając na bok skoczył, odsłonił mi lisa. Czy głód go czyni tak zaciekłym, zapewnić nie mogę, może też rozżarty i rozgorączkowany zapomina o niebezpieczeństwie, ale krocie wypadków świadczą o tem jego zaślepieniu.

Opowiadał mi leśniczy wiarogodny następujące ciekawe zdarzenie. Polował z małymi jamnikami nad wsią, postrzelił zająca, którego psy pogoniły w górę, a gdy gon ucichł, podkradł się i z zdziwieniem spostrzegł jamniki targające zad zająca, a starego lisa szarpiącego łeb. Oczywiście zabił bezczelnego lisa, ale widocznie i jamniki były potężnie głodne, kiedy dzieliły się zdobyczą ze swym wrogiem. Wieleż to wypadków tkwi w naszej pamięci, iż lisy zapominały o swem bezpieczeństwie łowiąc drób po chałupach i we wsiach wobec ludzi i psów.

Tyle poezyi, niespodzianek, uroczych obrazów i zagadkowych postaci w lesie okiścią zalepionym, że myśliwy prawdziwy musi uledz pokusie polowania w tej porze, a lubo na każdym kroku walczyć musi z trudnościami, to jednak dozna rzeczywistej rozkoszy. Kto nie wierzy, niech doświadczy, jeżeli nie woli wraz z Rejem: „w ciepłej izbie krajać grzanki i okiści nie puszczać za kołnierz“.

Olejów, 2. Grudnia 1884.

Przyczynek do historyi łowiectwa w Polsce

skreślił

C. J. Kochanowski.

W ciemnym pomroku zamierzchłej przeszłości giną początkowe dzieje rozwoju człowieka, z nielicznych pamiątek i resztek pozostałych z wieków ery przedchrześciańskiej, zaledwie małą tylko cząstkę można wydobyć, większa część pozostawiona domniemywaniom i badaniom uczonych. Jakie były stopnie tego rozwoju, w jaki sposób ród ludzki wykształcał się, trudno dziś stanowczo twierdzić, to wszakże pewne, że pierwszym stopniem cywilizacyi człowieka było życie zastosowone do ówczesnych stosunków — życie myśliwskie. Pośród niezmiernych lasów, pokrywających jednem nieprzerwanem pasmem ogromny obszar kuli ziemskiej, żyło tysiące gatunków zwierząt, które mogły w rozmaity sposób rozwojowi człowieka stanąć na zawadzie lub też mu dopomódz. Szkodliwe musiał człowiek z drogi swej usuwać, pożyteczne sobie przyswoić. W taki sposób wytworzyła się pierwotna podstawa myśliwstwa. Ważył także na szali i inny wzgląd, mianowicie troska o zachowanie własnego bytu, własnego życia. W mnogo i swobodnie rozmnażających się zwierzętach widział człowiek nieprzebrane źródło, z którego mógł czerpać zasoby wyżywienia się, co go też najbardziej do myśliwskiego życia skłaniało. Następnie potrzebując on okrycia, chroniącego od szkodliwych wpływów atmosferycznych, znalazł je w skórze, ściągniętej z zabitego zwierzęcia. Oto główne przyczyny wytworzenia się myśliwstwa.

Nie miało łowiectwo pierwotne znaczenia dzisiejszego, było to dzikie uganianie za zwierzyną, żadną szlachetniejszą pobudką nie kierowane, była to walka o byt. Mierząc siły swoje z siłą, przemyślnością lub instynktem zwierzęcia i pokonując je lub przyswajając, zyskiwał człowiek pożywienie, okrycie, naukę i przychylność. Mięso spożywał, futrem się okrywał, wnętrzności użył do sporządzenia nici i wiązadeł albo szyb w otworach przepuszczających światło do swego mieszkania. Stałe części posłużyły do wyrobienia naczyń i innych przyborów, zęby jako przyrządy sieczne, rogi jako puhary, włosy do tkanin, tłuszcz jako światło i pożywienie, piór ptaków użył do strzał, ości rybich jako igły. Koń i wół stały się jucznemi i pociągowemi zwierzętami, pies wiernym i przychylnym towarzyszem, inne zwierzęta przynosiły mu rozmaite korzyści lub sowity zapas żywności.

Siła i przemysł były głównymi czynnikami, którymi się w ubijaniu i przyswajaniu zwierząt posługiwał. Siłę wyrabiał w nieustannej walce z zaporami przyrodzonemi, przemyślności i podstępów uczyły go same zwierzęta, bóbr stawiania wodnych budowli, pająk snucia tkanin, żaba pływania, lis przezorności, lew męstwa i t. d. Mimowiednie nabywał doświadczeniem środków pomocnych w walce o byt, nawet umysł jego rozwijał się i kształcił. Niedostateczność tych motorów siły i przemysłu zmuszała do obmyślenia broni chroniącej życie. Pierwszym przyrządem, którego użył w koniecznej potrzebie, a może w zapędzie gniewu po nieudanych łowach, był kamień, następnie kij, przeistoczony później w maczugę, wreszcie nóż i topór kamienne. Ulepszoną bronią stała się włócznia, do której dodał z jednej strony kości z zabitych zwierząt w celu nadania siły pociskowi, z drugiej pióra ptasie, znajdowane w mnogości, dla spotęgowania jej pędu. Łuk i strzały były już znacznym w tym względzie postępem. Pierwotne maczugi, broń ochronna, jakie dziś widzimy u Australczyków i murzynów Afryki pod nazwą „Kiri“, wyrobione były z twardego drzewa i kończyły się zwykle drewnianą gałką lub tylko zgrubiałém zakończeniem. Później sporządzano je z kości i kamieni. Noże były grube, niekształtne, jakie obecnie jeszcze znajdujemy w Mexyku, włócznie niezgrabne, jak dziś u Australczyków i Negrów, zwane „assagaje“. Używano też procy, mianowicie z większej odległości. Wprawa w władaniu tą bronią bywała często nadzwyczajną. Znani są z podania Cezara Balearscy łucznicy i procarze, którzy ostatni z oddalenia 150 kroków celne wysyłali pociski, a szkoccy i angielscy łucznicy wypuszczali 12 strzał w jednej minucie, z których zaledwie jedna w cel nie trafiała. Czy dzisiejsze Repetiergewehre, strzelające 12 razy na minutę, choćby połową strzałów celu dosięgają?

Wszystkie te okazy broni były niekształtne, zastosowane do pierwszych koniecznych potrzeb, a użycie włóczni i toporu znamionowało już wielki postęp. U dawnych Ichtiofagów w Nubii jedynym przyrządem do obrony był róg koźli, a zdobycz swoją piekli oni na słońcu (Strabo). Łuk i strzały były już bronią na zwierzęta, do których z włócznią i toporem przystąpić było prawie niemożliwem. Łuki wyrabiano z elastycznego i silnego drzewa, strzały z trzciny z zaostrzonym końcem i piórami w celu pomnożenia wartkiego pędu. Strzały zatruwano sokiem jadowitych roślin lub wężów, na cięciwę użyto włókien roślin. Dzisiejsza dmuchawka mieszkańców Sumatry i Amerykanów południowych jest także zabytkiem starożytności, o czem forma jej świadczy. Wyrabiają ją z trzciny wewnątrz próżnej, do środka wkładają strzały zwykle zatrute i silnem dmuchnieniem wyrzucają je ku upatrzonemu celowi.

Przypatrzmy się też ówczesnemu ustrojowi społecznemu, jeżeli on na tę nazwę zasługiwał. Mieszkano w jaskiniach, jak Hotentoci, Buszmanowie i Szangallowie Abissynii, w porze letniej chroniono się pod drzewami, warzono w dołach, a jako naczynie służyły muszle. Mężczyzna oddany

był jedynie łowiectwu, kobieta zajmowała się gospodarstwem domowem, podlegając bezwarunkowo władzy swego pana i męża. Jest to charakterystycznem znamieniem wszystkich ludów, stojących na niskim stopniu rozwoju, mianowicie owa podległość kobiety mężczyźnie. On był właścicielem i władcą wszystkiego, a więc i żony, ona była rzeczą, którą mógł dowolnie rozporządzać. Przypatrzmy się dzisiejszym czerwonoskórym, o ile ich cywilizacya i Anglicy nie wytępili, a znajdziemy tam dziś jeszcze taki stan rzeczy. U ludów mongolskich Azyi oznacza ilość posiadanych kobiet stan zamożniejszy. Taki ustrój społeczny nie mógł doprowadzić ani do podziału pracy, dzisiejszej jego podstawy, ani też do różnicy stanów. Życie myśliwskie wymagało odosobnienia się. Myśliwy polował sam, w jego sferze nie było łączności. Każdy na swoją korzyść szukał zdobyczy, i to na ogromnych obszarach, nie miał więc myśliwy w owych czasach stałej siedziby, wiódł życie koczownicze w miarę ilości zwierzyny, której poszukiwał. Nie łącząc się w życie towarzyskie, cechował się szorstkością obyczajów, wszelkie szlachetne uczucie było w nim śród nieustannej walki zupełnie przytępione, natomiast wytwarzały się chciwość, zdradliwość, zazdrość i nienawiść. Nie dziw, że w takich stosunkach nie było w ówczesnem społeczeństwie myśliwskiem owej podstawy rodziny, wzajemnej miłości i szacunku, bo owa rodzina wynikała z wielożeństwa, dzieci nie wiązał serdeczny węzeł z rodzicami, chłopiec, skoro wzrósł w siły, już sam sobie musiał wystarczać, dziewczyna zaś rzucona była niejako między sprzęty domowe.

Cóż można wymagać od tych napół dzikich myśliwych, których sama przyroda czyniła surowymi, kiedy o wiele później Kromer w swojej kronice tak się wyraża: „Mieczysław I. nie otrzymał korony od Benedykta VII., gdyż Polacy myśliwstwem się parając, nieużytymi, okrutnymi, potwornymi i przykrymi byli dla uboższych, a wiary chrześciańskiej nieprzystojnie używali.“

Wyrabiały się wszakże w myśliwstwie siły fizyczne niezmiernie, zmysł badawczy potrącając nieustannie o zapory stawiane przez przyrodę, rozwijał się do wysokiej miary, a wraz z nim wyrabiały się pamięć i rozwaga w razach niebezpieczeństwa, czego wymowny dowód mamy obecnie u Indian czerwonoskórych Ameryki.

Zmieniły się owe stosunki, gdy znacznie później wartość żelaza poznano. Już w dalekich czasach przed ową epoką, poczęto jako narzędzi w ogóle, a w szczególe jako broni używać innych minerałów zwłaszcza miedzi dla jej łatwej topliwości, a więc użyteczności do nadania różnych form. Była wszakże za miękką, wnet więc dodawano do niej cynę. Jako okaz tego przemysłu starożytnego, widzimy okładziny nożów, z tej mięszaniny wytworzone. Znacznie później nastąpiło użycie żelaza i jego rozpowszechnienie, a to z tego powodu, że wydobywać je należało z rudy, o czem nie prędko powzięto wiadomość. Odtąd poczęto wyrabiać z żelaza przybory zaczepne i obronne, z razu jedynie do odporu wrogów, następnie dla myśliwstwa. Była to owa czwarta epoka, zwana przez uczonych żelazną, cechująca się głównie żelazem, później ołowiem i cynkiem.

Wraz z wynalezieniem strzelby i prochu weszło myśliwstwo na zupełnie odmienne tory, a był to najwyższy szczyt rozwoju jego. Przechodząc przez wyżej wskazane stopnie, doszło łowiectwo do owego szczytu, na jakim go dziś widzimy, stało się szlachetnym i rycerskim zawodem. Kto uczuł w żyłach swoich prąd męskiej energii i siły, rwał się na łowy, aby umysł odświeżyć, sile dać pole do działania, dumę zaspokoić, gdyż obcięte pazury niedźwiedzie, zdarte skóry z drapieżnych zwierząt, przemaganie trudów i niebezpieczeństwa świadczyły o względnej dzielności. Patrzmy na czerwonoskórych Ameryki Sioux, Apaszów i innych, największa ich zasługa i duma w największej ilości pazurów szarego niedźwiedzia, strasznego ich wroga, a obok tego skalpy z bladych twarzy, odejmujących im swobodę działania i życia.

Myśliwstwo nie tylko dostarczało pożywienia i różnych innych potrzeb, ale też przynosiło społeczne usługi, i z tego powodu było w wielkiem poszanowaniu i czci. Tępienie zwierząt srogich, czyniących wielkie szkody, obudzało wdzięczność i podziw dzielności. Imiona takich myśliwych przechodziły do potomności, a zagłębiona w mitologii starożytność stawiała ich jako bohaterów i półbogów, obok bogów Olimpu i raczyła ambrozyą i nektarem po śmierci. Im groźniejszym był zwierz, z którym się myśliwy zwycięsko potykał, tem większą była jego sława i nagroda. W Biblii znajdujemy, że „Nimrod był znacznym strzelcem przed Panem“. Sława myśliwego dawała mu powszechne poszanowanie, a niekiedy wiodła go do najwyższych dostojeństw, nawet do tronu. Starożytna mitologia Greków, przepełniona jest dziełami sławnych myśliwych. Za zabicie szkodliwego smoka lub lwa wdzięczna potomność zaliczała bohatera między półbogi, stawiała mu ołtarze, w chwili grożącego niebezpieczeństwa od dzikich zwierząt wzywała jego pomocy. Herkules policzony w półbogi, Jazon staje się królem, uniosłszy złote runo z Kolchidy i zabiwszy przedtem straszliwego smoka, strzegącego gaju, w którym owe złote runo było zawieszone. Perseusz czyni wyprawę łowiecką na Kretę. Krew Adonisa, kochanka Wenery, ginącego w walce z dzikiem, przemienia bujnej fantazyi mitologia w krzak róży. Pośród bogów, śród mieszkańców Olimpu znalazła mitologia licznych adeptów myśliwstwa. Apollo, ideał męskiej piękności, staje się patronem łowiectwa, towarzyszy mu nadobna Dyana, rozmiłowana w łowach, następnie Bachus, grecki Dionisos i t. p.

W ogóle wiadomo, że wszystkie wojownicze narody starożytności oddawały się z całą namiętnością myśliwstwu i było ono u nich w wielkiem poszanowaniu. Śród nich rej wiodą Persowie, a Grecy doprowadzili łowiectwo do wielkiego stopnia doskonałości. Znajdujemy u nich pisarzy, którzy pióro swoje poświęcili temu przedmiotowi, o czem świadczy Xenofonta dzieło „Kynegetikos“. Rzymianie zajęci głównie sprawami wojennemi, podbojami, mniej oddawali się myśliwstwu, toż musieli oni sprowadzać zwierzęta z innych części świata na swoje uczty i igrzyska, poświęcając w tym celu ogromne sumy. Większą oni zwracali uwagę na chów dzikiego zwierza, a działo się to nie w celach rozszerzenia wiedzy i nauki, nie z pobudek wyższych, lecz jedynie dla dogodzenia swojej próżności, dla okazania światu swej potęgi, bogactw, siły i wytrwałości w poskramianiu przyrodzonych popędów licznej gromady dzikich zwierząt. Stał chów ten na równi niemal z rozszerzonem u Rzymian niewolnictwem, z tą jedynie różnicą, że niewolnik z wysileniem pracował dla swojego pana, dziki zwierz zaś służył do wspaniałych uczt i igrzysk. Najwyszukańcze mięso zwierzęce znajdowało się na stołach możnych Rzymian, i w tym celu głównie spowadzano je i hodowano. Łowienie ptaków za pomocą sideł i lepu

było już dawno Rzymianom znane, używano też wabików. Po domach dla rozrywki chowano sowy, lecz o układaniu sokołów ani u Greków, ani u Rzymian, nie ma śladu. W zwierzyńcach hodowano jelenie, sarny, dziki, szczególniej pierwsze, których często używano do tryumfalnych pochodów rzymskich tryumfatorów i dla kapłanek. O wilku miano wyobrażenie, iż na kogo naprzód popatrzy, ten traci mowę. Większe znaczenie miało łowiectwo w czasach prześladowania chrześcian, kiedy wielką liczbę sprowadzano różnorodnych dzikich zwierząt. Nie wiele pozostało wzmianek o myśliwstwie u pisarzów rzymskich, jak n. p. w Horacym.

W czasach, gdy ziemia bardziej okrytą była lasami, i zwierzyna swobodnie mnożyć się mogła, miało łowiectwo zupełnie odrębną cechę. W miarę rozwijania się rolnictwa i trzebienia obszarów leśnych musiało łowiectwo tracić swe pierwotne znaczenie i zejść na podrzędniejsze stanowisko. Już ono przestaje być jedynym niemal żywicielem, staje się rozrywką i przyjemnością, godną wprawdzie rycerskiego męża, ale dostępną tylko dla wyższych sfer społecznych.

Starzy Gallowie byli wybornymi strzelcami, a pośród hord germańskich odznaczały się szczepy Cymbrów i Teutonów szczególniejszem zamiłowaniem do myśliwstwa. W dawnem państwie Franków doszło ono do takiego znaczenia, że nie tylko dwór, szlachta i duchowieństwo, ale nawet kobiety brały w niem udział. Duchowieństwo oddawało się z taką namiętnością szlachetnemu myśliwstwu, że sobór kościelny musiał się w r. 517 zająć tą sprawą i zakazać duchowieństwu utrzymywania psów i sokołów. Mimo tego zakazu polowało ono jednak dalej.

W początku wieków średnich uważano już myśliwstwo jako szlachetną rozrywkę, używaną jedynie przez panujących i możną szlachtę. Działo się tak wszędzie, gdzie kastowość w ogóle silnie się zarysowała. Wszak już w Sparcie przysłużało prawo polowania tylko wyższym rodom, w Attyce zaś wolno było wszystkim polować, ale tylko w lasach, iżby rolnictwo szkody nie doznawało. Gorliwym myśliwym w wiekach średnich był Karol Wielki, za którego rządów widzimy już uregulowane prawo łowieckie. Polowanie było własnością możnych, a przestępstwa karano surowo. Było ono głównem zajęciem płci męskiej, a u niedorostków stawało się szkołą przyszłych zapasów wojennych. Polowano z zasadzki lub z psami. Najczęściej myśliwy sam staczał walkę z zwierzem, przyczem nadarzała się sposobność wypróbowania siły męskiej, zręczności, bystrości zmysłów i pokonywania wielkich trudów. Wyruszając na taką walkę polecał się myśliwy św. Hubertowi i szedł z otuchą i wiarą w powodzenie. Myśliwstwo w ogóle miało cechę poważną i połączone było z pewnymi obrzędami. Wspólność trudów i celów wywoływała łączność między myśliwymi w życiu prywatnem i publicznem, ona też dała podstawę właściwej terminologii łowieckiej, którą każdy myśliwy musiał sobie przyswoić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE WSPOMNIEŃ MYŚLIWSKICH.

„...Wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało“.

Nie wiem, czy to się każdemu tak zdarza, że co za młodu lubił, to na starość z powodu ważnych obowiązków musi odkładać, i nie wiem, czy brak swobody lat młodszych, czy istotny brak czasu, często stają dziś w drodze zamiłowaniu łowiectwa, a namiętność mimo to, a może i dla tego właśnie nie ustaje, ale rośnie i trzeba pewnej siły woli, ażeby ją pohamować, utrzymać w ramach możności. Ileż to miłych wspomnień łączy mnie z kolegami i towarzyszami, z którymi niegdyś w kniejach Dobrohostowa polowałem. Dziś rozprószeni, wielu już w nadziemskich legiach św. Huberta, inni o mil setki, a jeszcze inni przykuci do twardych obowiązków życia rodzinnego lub publicznego, pracują na chléb w pocie czoła, lub niosą krajowi w ofierze siły swoje. Z całego grona tych myśliwych zostawszy w tych stronach sam jeden na wyłomie, i ja w końcu zwinąłem sztandar, i złożyłem go z poszanowaniem do arki wspomnień. Towarzystwo dobrohostowskie się rozwiązało i znikło, jak znikły rzeczy wielkie i poważne.

Patrząc z okna na ubielony śniegiem szczyt Janczuek, na poważny Sołominiec, na Orłów, Zmuły, Soleckie, Pohorylec, Zabródki, Klimowiec, przelatuję myślą od miotu do miotu, i jak echo trąbki cudnej, może ostatniej, Aleksandra Szczep......, grają w pamięci wspomnienia chwil uroczych, podniosłych wrażeń. Lata 1861, 1862 i 63 pełne nadziei, gorących myśli, jak ten pożar, który potem zniszczył wszystko, usposabiały do życia wesołego; nam się zdawało, że w trudach myśliwskich hartując ciało, sposobimy się na niezwyciężonych, a tajemniczość lasów głębokich leżała przed nami jak przyszłość, ażeby ją zbadać, zhołdować, nie było dość wielkiej przeszkody.

Dobrohostow, własność kamery drohobyckiej, leży o dwie mile od tego miasteczka; lasy jego graniczą na zachodzie z lasami Lubieniec, na wschodzie z lasami Drohobycza i Truskawca, na północ ze stebnickiemi, od południa przypiera prawie do rzeki Stryja. 5.000 morgów lasu a 5.000 mniej więcej krzaków gminnych były naszym terenem łowieckim, od strony południowej górzystym, od północy prawie równym z parowami. Lasy szpilkowe w niższych miotach dębiną, w górnych buczyną przetykane. Przeważny zwierzostan: dziki; w lecie na malinach niedźwiedź, często ryś i wilk gościł; sarn stosunkowo było mało, lisów dużo, a i szarak w dolnych miotach opłacał często wieczorne zamknięcie łowów. Żałuję dzisiaj, że nie prowadziliśmy protokołu, szczegółów nie pomnę, ale to pamiętam, że przez sześć lat polowania zginęło przeszło 200 dzików i 2 niedźwiedzie, drobnej nie licząc zwierzyny, przyzna mi każdy, że na tak małej przestrzeni rezultat to dobry.

Towarzystwo liczyło 8—9 członków i często bywało dwóch lub trzech zaproszonych, zajmowaliśmy w czasie polowania dwie izdebki w leśniczówce, pokotem na sianie

sypiając, zawsze jednak było nam wygodnie i nigdy się nikt nie żalił na bezsenność lub twarde posłanie. O 6tej rano większa część towarzyszów rozchodziła się tropić, by w oznaczonym czasie w centrum kniei zebrać się dla łowów. Jakież to urocze chwile mijały, kiedy siedząc na kłodach drzew zwalonych, przy ognisku wielkiem, na „Szyi soleckiej" lub w budzie na „Kudłatem", słuchaliśmy raportów obtrapiaczy, którzy z różnych stron ściągali się brodząc w śniegu po kolana, z dymiącemi od trudu czuprynami, i doprawdy taki odyniec, którego się osobiście obtropiło, za którego śladem zmierzyło się nie jeden szczyt i nie jeden przebyło parów, strzelał się z osobną zaciętością. Przy tem to ognisku na „Szyi" zbierała się także i nieoceniona pogonka nasza z kilkunastu chłopaków dzielnych i roztropnych, a przytem łagodnych i poczciwych. Kilku z nich uwiecznił penzel Andrzeja Grabowskiego lub Grottgera. Były to typy górskie, niektóre bardzo malownicze, do czego się głównie strój zgrabny i lekki przyczyniał. Wesołe chłopaki pełne konceptów i figlów rozweselały nas na tym punkcie zbornym, jak wiewiórki leśne, zwłaszcza gdy staremu leśniczemu ś. p. Müll..., który był Czechem i źle mówił po polsku i po rusku, figle płatali. Ten Müll... był pocieszny, miał mnóstwo przysłowiów czeskich, strzelał doskonale, nosił czapkę z uszami i wyglądał jak straszydło na ptaki, gdy te uszy podniósł do góry a one obwisły. Grottger pysznie go odrysował w tej postaci. Poczciwy był stary i dobry myśliwy, po nim upadła knieja, bo nie było łowca, któryby ją pielęgnował tak jak stary Müll... Jemu to zawdzięczam niedźwiedzia, którego w roku 1863 zastrzeliłem. Mając obietnicę nagrody, dał mi znać w końcu lipca, że śledzi go od dni kilku. Zawiadomiłem natychmiast towarzyszy o obecności szanownego gościa w kniei, ale jakoś jedni nie mieli czasu, innym się zdało, że na czarnej a raczej zielonej stopie sierpniowej trudno znaleźć zwierza, dość że nikt nie pojechał. Wybrałem się z dwoma strzelcami mymi i p. Tocz..., który u mnie bawił. Stanąwszy w leśniczówce, pozdrowiłem starego Müll... pojezdnem na trzech trąbkach i nazajutrz zrana w szczupłym korpusie sześciu strzelców i kilkunastu chłopców zacząłem plądrować knieje. Pierwszy dzień spełzł daremnie, w kilkunastu miotach nie było niedźwiedzia, do dzików nie strzelano; drugi dzień także marnie zeszedł na szukaniu, aż trzeciego dnia pod wieczór około piątej gdy prawie straciłem nadzieję spotkania, kazałem pędzić w górę zwaną „Orłów". Stałem na ścieżce, która w dole nad parowem okrążała górę, przedemną i za mną las jodłowy młody jak tyki chmielowe, dość gęsty i siatka z suchych gałązek. Wieczór był bardzo piękny, gorący; zmęczony trzydniową pogonią siadłem na kamieniu i myślą byłem wyznaję wcale gdzie indziej. Gdy zagrała trąbka sygnałowa i wesoło husz! husz! ozwały się chłopaki na szczycie Orłowa, mimo zmęczenia zerwałem się z siedzenia i stanąłem jak wryty, słyszałem każdą muszkę, brzęczącą koło mego ucha, w tem z góry doleciał mnie głos podobny do fukania odyńca, głos się zbliża, coraz wyraźniej go słyszę, słyszę i posuwanie się jakiejś ciężkiej masy, trzeszczenie gałązek, aż między gęstemi żerdziowemi drzewami dostrzegam brunatną postać zbliżającą się ku mnie; jeszcze nie wiedziałem, dzik li to czy niedźwiedź; a na trzydzieści kroków dopiero od mego stanowiska trochę w lewo fuknąwszy głośno spiął się marucha na tylnych łapach, bo mu tak wygodniej było z góry schodzić i zatrzymał się w tej postawie. Złożywszy się do strzału czekałem chwilę, widziałem, jak ruszał nozdrzami biorąc wiatr i strzygł uszyma patrząc ku mnie, zmierzyłem do ucha i nie wiem skąd znalazło się tyle zimnej krwi we mnie i refleksyi, że przeniosłem muchę na komorę. Razem ze strzałem zwalił się niedźwiedź w trzech kozłach z potężnym rykiem do parowu przez stanowisko sąsiada mego, który salwował zdrowie ucieczką, czemu się jednak nie dziwię, bo ryk i kozłowanie wielkiego niedźwiedzia i błyśnięcie zębów, w pierwszej chwili były imponujące i należą do tych obrazów, których mało się w życiu myśliwskiem dziś widuje i odczuwa. Niedźwiedź mocno farbując pociągnął dalej, puściłem za nim dwa psy poszedłem za nimi, obstawiwszy wpierw miot strzelcami. O trzysta kroków psy naszczekały, a gdy dobiegłem, niedźwiedź między dwoma dębczakami zrośniętymi dawał już tylko słabe znaki życia, głowa mu zwisła i psy bezkarnie szarpały go za kudły. Wówczas pojezdne zagrzmiało z pełnej trąbki i pełnego serca i zdawało mi się, że trąbka moja jest bez końca, jak świat długi i szeroki. Pierwszy dobiegł za mną „Picio", chłop z Opar, niegdyś strzelec Dulskiego, doskonały myśliwy kłusownik, którego brałem do Dobrohostowa, bo dobrze tropił, za nim mój strzelec, a w aryergardzie stary Müll..., uradowany rezultatem jak dziś pamiętam wykrzyknął: „Pro Christa Pana! moja duplówka", i w istocie dostał dubeltówkę obiecaną, z której na pierwszem polowaniu zrobił dublet do dzików. Niedźwiedź otrzymał kulę 16-go kalibru w komorę, kula przeszła go prawie na wylot, bo znalazłem ją pod skórą z drugiej strony. Strzelałem ze strzelby Kellnera Lefaucheux prosto ciągniętej, z której do dziś-dnia strzelam i zawsze jest dobrą. Powrót z wyprawy z niedźwiedziem, który zajmował całą długość wozu, był przedmiotem zazdrości towarzyszów, na którą odpowiadałem ironicznym uśmiechem. „Psotnica" była tym razem dla mnie łaskawą!

Rzadko, a na dolinach prawie nigdy nie widuje się takich dzików, jak stare odyńce w Dobrohostowie; na zimę ściągały one z głębokich gór do tej kniei, która nęciła rozmaitością żeru. Bukwa, żołędź, trufle, korzenie roślin w bagnistych parowach rosnących, to przysmaki, na które z daleka ściągały gastronomiczne żołądki dzicze; dlatego zdaje mi się, że bez przesady twierdzić mogę, iż lepszej dziczej kniei jak Dobrohostów trudno znaleźć, tak było przynajmniej w owych czasach kiedy tam polowaliśmy. Już to literatura i sztuka bywa z myśliwstwem na bakier, a jakkolwiek Grottger bardzo dobrze strzelał do drobnej zwierzyny, pamiętam że tylko jednego ale dużego zastrzelił odyńca, któremu mój strzelec kulą odstrzelił wypadkiem obie przednie racice, dzik tak postrzelony bardzo zły na kolanach przednich zawlókł się przed Grottgera i ten go dobił. Maryanowi S. dzisiejszemu członkowi akademii umiejętności, zaimponował znowu raz odyniec, który mu na sztych wyszedł, tak że nie strzelił, cieszył się tylko jego widokiem i powagą. Czytając jego listy z Rodos niedawno pisane i trudy podróży, przypomniałem sobie jego z nami górskie wycieczki. Jednemu z towarzyszów (nie chcę wymieniać nazwiska) zamarzła raz iglicówka i cztery razy kłapał do odyńca, a na tem samem stanowisku dwa razy do stadka dzików. Innemu znowu psotnica zamknęła kurki, kiedy przed nim stał odyniec. Wszyscy jednak ci, o których wspomniałem, byli gośćmi, z towarzyszów tylko jednemu zdarzyło się trzy razy kłapać z kapslówki do wilka stojącego przed nim wśród burzy silnej, tak że wilk nie

słyszał; wybacz kochany towarzyszu to gorżkie wspomnienie, niech wiele innych miłych osłodzi ci tę ciężką chwilę, jeżeli to wspomnienie przeczytasz, wybacz że odświeżam ranę dawno już pewnie zabliźnioną.

Czem są takie epizody po powrocie z polowania przy barszczu, to wiecie kochani towarzysze z doświadczenia, ale jeźli już o nich mowa, to niepodobna mi zostawić w mgle zapomnienia instrument muzyczny, który zwano dawniej klawicymbałem, pamiętacie poczciwy brzęczący fortepian dobrohostowski, który takiej wesołości bywał przyczyną; a owa ballada o:

„Pięknej Alfredzie co wyszła w poranek,
By w wianku ślubnym uszczknęła kwiat,
Gdy w zamku Alfredy czekał kochanek,
Ryszard nadobny w jej kwiecie lat.“

Wszystko to należy już do przeszłości, wiele chmur odtąd zaciemniło horyzont nasz, i my się doliczyć i zebrać nie możemy razem, a gdybyśmy się zebrali, to nie wiem, czybyśmy się zdobyli na taką swobodę, na taką wesołość jak wtedy, a kiedy się zapomni o tych czarnych chmurach, co nas otaczają w koło, to wydaje się, że to rzeczywistość jeszcze, a jednak i tutaj przypomnieć trzeba:

„...Wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało“.

Jeżeli któremu z was towarzysze mili wpadnie do ręki ten urywek ze wspomnień lat wesołych, młodych, pozwólcie, żebym wam przypomniał także tego ducha, który nas ożywiał. Dalecy od pozytywizmu, chłodu, żyliśmy całem sercem w przyszłości, czuliśmy gorąco, dysputowali z zapałem, przypominacie sobie zapewne spirytystyczne rozprawy zacnego Stanisława B., walki zasad demokratycznych z arystokratycznemi, które zwodziliśmy z Aleks. Fr., żołnierskie opowiadania Kor. S., przyprawiane tak doskonale imitacyą świstu kul na polach bitew. Grało w nas życie młode, każda żyłka drgała życiem, a choć wiele było illuzyi, z których boleśnie się rozczarowaliśmy, jednak materyał był dobry.

Dziś inne czasy, inne warunki bytu, ale przecież jeżeli młodszej generacyi w serca wszczepić potrafimy tę konieczną dozę idealizmu, bez której doprawdy człowiek nic nie wart, to i ona posłyszy te echa, które coraz głuchną, i jej się będzie zdawało:

„Że Wojski wciąż gra jeszcze,
A to echo grało!“

Śniatynka, 29. Listopada 1884.

S. T.

KORESPONDENCYE.

Z Podlasia.

Podlasie uchodziło dotychczas za część Polski, w której najmniej może starano się o pomnożenie stanu zwierzyny, a o postępowem i racyonalnem myśliwstwie nikt pojęcia nie miał. Byli tu amatorowie, strzelcy, tępiciele zwierzyny, lecz nie myśliwi. U sąsiada uwijała się zwykle przed dworem zgraja psów różnego rodzaju i gatunku, w których z trudnością rasy wybitnej dopatrzeć się było można, widziałeś tam ogary, wyżły, taksy, kundle, mięszańce, wszystko psy znakomite, jak twierdził właściciel: ten osadzał dzika tak, że go na postronku przed dwór przyprowadzano, ów w pojedynkę brał wilka, tamten nieprzebraną ilość lisów zforsował, co niepospolicie wpływało na oszczędność prochu, to znów wyżeł, który zręcznym i specyalnym ruchem ogona wystawiał cietrzewia lub przepiórkę. Dziwna jednak, że tak znakomite stworzenia zwykle do psów nie były podobne, mizerne, chude, najeżone, zostawione własnemu przemysłowi, nigdy nie zamykane, wszystkie pola i lasy codziennie przebuszowały bez względu na porę roku, i forsowały wprawdzie biedne szaraki, lecz na swoją własną korzyść. W tych warunkach myśliwstwo prosperować nie mogło, i pomimo licznych lasów i podszytych kniei, na Podlasiu zwierzostan upadał. Lat temu 12 polując w okolicach Parczewa, Radzynia z liczną obławą do 600 ludzi, przez rząd zwoływanych dla tępienia żarłocznych wilków, zabijaliśmy 1 kozę, ze 2 do 3 zajęcy i czasami lisa, wilki bowiem zwykle bokiem wychodziły. Przyznać trzeba, skromne na ów czas były wymagania, bo mówiono w dobrej wierze: „to mi polowanie, ślicznie się udało!“ Trwało to tak długo, aż wreszcie znalazł się człowiek, amator, znawca, który przykładem, wytrwałością, oszczędzaniem i silną wolą przekonał zatwardziałych kłusowników Podlasia, że i myśliwstwo do ładu doprowadzić można, i dojść do świetnych rezultatów. Tym odnowicielem i organizatorem łowów tutejszych jest niezaprzeczenie książę Włodzimirz Czetwertyński, właściciel dóbr Milanów, Rudzieniec i Suchowola w powiecie Radzyńskim. Zaraz po objęciu majątku rozpoczął książę w tym kierunku swą wytrwałą pracę, chodziło głównie o rozmnożenie, przynęcenie zwierzyny, zaczął więc w różnych miejscach lasu sadzić bulwy, siać łubiny, żarnowiec, rzepaki, zakładać lizawki, korytka z owsem i paszą, zamknięto las i polowanie na lat parę, strzelano psy i ptaki drapieżne, słowem nie pominięto niczego, coby zwierzynie spokój i ochronę zapewnić mogło. Następnie podzielono obszerny las na rewiry myśliwskie, przecięto linije po dziś dzień wzorowo utrzymane, a dzielące rewiry na prostokątne figury, które z łatwością pozwalają dozorowi leśnemu w karbach nagonkę utrzymywać. Podczas polowania skrzydła starannie obstawione chłopcami z chorągiewkami różnych kolorów, nie dozwalają zwierzynie bokami się wymykać; nadzór nagonki, dawanie sygnałów poruczono biegłemu łowczemu p. Englowi, który wyuczony u hrabiego Henckla na Szląsku, tamtejszy porządek na Podlasiu potrafił zaprowadzić. Stawianie myśliwych rezerwuje sobie gospodarz, czuwając nad tem, żeby tych, których na poprzedniem stanowisku los prześladował, w następnej nagonce wynadgrodzić, a sobie zostawia zwykle najgorsze stanowiska. Krótko mówiąc po 12-letniej systematycznej pracy w kierunku myśliwstwa, roku zeszłego dnia 7. i 8 Listopada na ostatniem polowaniu u księcia, dwunastu zaproszonych gości zabiło sztuk 105; mianowicie 2 odyńce kolosalnych rozmiarów, rogaczy 14, lisów 18, zajęcy 69 i jarząbków 2. Podczas polowania wydarzył się wypadek z dzikiem, który mógł mieć najsmutniejsze następstwa dla jednego z myśliwych. W przedostatnim miocie, przed śniadaniem, na lewem skrzydle, wyszło na mnie 13 sztuk dzików, mając tylko jedną kulę w lewej lufie mojej dubeltówki, wybrałem

pojedynka, strzeliłem do niego w chwili, kiedy już stado mijało liniję lewego skrzydła, i zgruchotałem mu tylne udo, dzik silnie raniony odłączył się od trzody i zatrzymał się w następnym miocie, przypadającym do zakładania. Myśliwi w mgnieniu oka rozstawili się na nowych stanowiskach, nagonka pod energiczną dyrekcyą szybko zaskoczyła, i na nowo zaczęła pędzić. Wkrótce łowczy daje sygnał trąbką, że dzik ruszony z legowiska, pada kilka strzałów na prawem i lewem skrzydle, a że rzecz działa się w niezbyt zwartym lesie, z kilku stanowisk widzimy owego odyńca rozglądającego się i postępującego dość wolno środkiem miotu w stronę stanowiska pana Muchanowa, który nie miał sztućca, tecz tylko 4 mm. numerem nabitą dubeltówkę. Dopuszcza on zwierza na kroków 30 i strzela w bok, dzik zwraca się na lewo do sąsiada pana Jasieńskiego, ten także śrótem strzela na kroków 20, odyniec zwija w prawo, ostatnich sił dobywa, i podwajając szybkość uderza powtórnie na pana Muchanowa, który nie tracąc przytomności, dopuszcza go i pali śrótem na sztych na kroków trzy. Stałem obok pana Muchanowa po prawej stronie i w chwili, kiedy biegłem mu w pomoc, widziałem go powalonego na ziemię i dzika na nim siedzącego. Pan Machanów przewrócony został impetem rozwścieczonego zwierza, a kiedym dopadł o jakich kroków 30 od miejsca mniemanego nieszczęścia, gdyż nie wątpiłem, że kolega myśliwy był straszliwie pokaleczony, ujrzałem stojącego i rozglądającego się odyńca na burcie rowu, strzeliłem więc po raz drugi kulą, poczem w oddaleniu kilkunastu kroków padł pojedynek nieżywy. Na szczęście nasz myśliwy był wcale nieuszkodzony. Długo debatowaliśmy przy śniadaniu i obiedzie, nie mogąc zrozumieć, że dzik uderzając z całym impetem innych śladów na myśliwym nie zostawił prócz farby, którą całe odzienie jego i ładownicę pobroczył. Drugi pojedynek padł na miejscu trupem, trafiony o kroków 90 w krzyże celną kulą pana Ciechanowskiego.

Tak zakończyło się to świetne polowanie jak na Podlasie, a uradowani goście tak łowami jak wyjątkową uprzejmością i gościnnością gospodarstwa, wyjechali wywożąc najmilsze wspomnienia, jednogłośnie przyznając, że polowanie w Milanowie do najlepszych, a szczególnie do najprzyjemniejszych w kraju policzyć można. *ex-Podlasiak.*

Węgrzec, 30. Listopada 1884.

Od jak dawna myśliwstwo istnieje, a kawał to czasu, polowanie na jelenia należało do wysokich trudnych a przyjemnych łowów. Mięso jego służyło za przysmak na stołach pańskich, za cenne pożywienie w chacie dawnego osadnika, skóra wyprawiona na najrozmaitszy sposób ceniona była bardzo, rogi na ozdoby, narzędzia i na lekarstwo, nawet dotąd chłopi niektórych okolic używają rogów jelenich na lekarstwo przeciw febrze i innym słabościom. Dziwić się należy, że ten szlachetny a piękny zwierz mający do swej obrony tylko szybkie nogi, dotąd jeszcze istnieje. Od całkowitego wytępienia zasłoniły go jedynie ostry wiatr, bystry wzrok i znakomity przedewszystkiem słuch. Ten ostatni zmysł jest u jelenia tak wydelikacony, że potrafi odróżnić odgłos spadającego drzewa od strzału, trzask upadłej gałązki od złamanej pod ludzką nogą, tupot zwierzęcy od ludzkiego i to na odległość nawet kilkuset kroków. W czasie szału zalotów miłośnych podczas rykowiska, kiedy inne zwierzęta zwykle w tym wypadku tracą wszelkie poczucie niebezpieczeństwa i zapominają zwykłych ostrożności, on zawsze czuwa i zawsze pamięta o całości swej skóry.

W roku obecnym polując na jelenie w czasie najsilniejszego rykowiska, próbowałem kilka razy beczącego podchodzić, wysłuchiwałem go bacznie, badałem pozycyę, kierunek wiatru, zachowałem wszelką ostrożność, lecz cała moja przebiegłość w obec ostrych zmysłów zwierzęcia na nic się nie zdała, bo podsunąwszy się do potoku, gdzie beczał, zastawałem miejsce próżne, a jeleń znikł jak kamfora, pozostawiwszy po sobie tylko capi niemiły odór. Polowanie na wabika również nie dało pomyślnych rezultatów, ale przynajmniej nie umęczyło łażeniem przez kłody i karłowate buki. Kto nie szedł przez karłowatą buczynę, rosnącą u szczytów gór pod połoninami, ten nie ma wyobrażenia o tej męce, jaką strzelec przebywa przedzierając się przez nie. Niczem kosodrzewina tatrzańska przy karłowatych bukach, tamta pnie się również po ziemi, lecz konary jej równiejsze i prostsze, rozkładają się prawie po samej ziemi tak, że przy pewnej wprawie można postępować chociaż nie bardzo wygodnie po wierzchu konarów, a plączą się tylko nogi, bo krzew nie dosięga do pasa. Buk zaś ma odnogi często grubości człowieka tak w górę i na dół jako też jeden z drugim poplątane, że trzeba drogę odbywać to drapiąc się w górę po gałęziach, to znów pełzając na brzuchu po pod nie. Może się nazwać szczęśliwym, kto z takiej drogi jedynie z podrapaną facyatą wyjdzie. Czem liany w dziewiczych lasach Ameryki dla wędrowca, tem u nas karłowaty buk dla myśliwego. Ale dosyć o bukach, nadmienię tylko, że jeleń chyba bardzo przyparty przez psy przedziera się przez nie, skacząc, gdzie podleźć nie może, w ogromnych nie do uwierzenia susach przez wierzch i gdyby pas tychże był szerszym jak sto kroków, niechybnieby go psy żywcem wzięły. Co to za męka dla myśliwego, gdy słyszy jelenia w takich tarapatach, nie raz zaledwie na kilkadziesiąt kroków od siebie, wie że podbiedzby go na strzał mógł wygodnie, gdyby nie te karłowate buki, nie zważając jednak na przeszkodę skacze w nie, bo mu krew kipi w żyłach, mężną piersią łamie pierwsze zapory, lecz stój nieszczęsny, bo oto uplątałeś się tak, że ani ręką ani nogą nie ruszysz w gąszczu koślaków, wracaj upokorzony, bo tam uroczysko, bo tam matecznik, do którego nikt bezkarnie nie zajrzy, do którego dostać się może jedynie pies, jeleń, niedźwiedź, ryś i wąż, wracaj, bo nie masz chybkości jelenia, zwinności rysia, ani ślizgości węża. Zdawałoby się komu, że polowanie na jelenia łatwe, że strzał do tak wielkiego zwierza pewny, że z dobrymi psami lub wytresowaną pogonką rezultat musi być świetnym, niech sprobuje, a zobaczy, ile zachodu i trudów kosztuje jeden zabity jeleń.

W roku obecnym wyjechaliśmy we czterech, nie chwaląc się, dobranych myśliwych z domu P. Zięt. z R. na polowanie jelenie do Górnych Bereh. Wyjechaliśmy w najlepszych humorach, przy sprzyjającej pogodzie, obdarzeni przez gościnną gospodynię zapasami jedzenia i napoju, a więc: tradycyonalną faską bigosu, pieczeniami, pierogami z serem i nie z serem, kapuśniakami i t. p. różnymi specyałami myśliwskimi. Pierwszym i jedynym popasem naszym było miasteczko Lutowiska, nędzna imitacya lichego miasteczka, zajeżdżamy upaliwszy parę mil trzęsącej drogi gościńcem powiatowym, ale którego powiatu czy Liskiego czy Turczańskiego, tego nawet Rady powiatowe tychże powiatów nie wiedzą, bo Lisko powiada, że należy do Turczańskiego, a Turczański twierdzi, że do Liskiego i tak dwa powiaty opiekują się tą opłakaną karkołomną drogą a raczej żaden się nią nie opiekuje. Nie wiem czy jest jaki delegat nad tą drogą, ale jeżeli jest, to daleko, a Pan Bóg wysoko, więc komu tu się skarżyć. Zajeżdżamy zatem do Lutowisk pewni, że gdzieś dostaniemy talerz ciepłego rosołu i ka-

*

wałek mięsa, aby naszych zapasów jeszcze nie rozpoczynać, próżne szukanie, w całej mieścinie same żydy i to w najgorszym gatunku, bo chassydzi, żaden nawet ognia nie użyczy, aby sobie dom obecnością gojma nie strefnić. Bylibyśmy musieli wiktuały nasze rozpakować i poprzestać na zimnym kawałku mięsa lub pierogu, gdyby nie opatrzność, która ustanowiła w Lutowiskach agenta Krakowskich ubezpieczeń. Dzięki ci assekuracyo, że nawet tam osadziłaś swego reprezentanta i że wybrałaś na to człowieka tak poczciwego, który nam nie odmówił domu, ognia i kucharki. Posiliwszy siebie, strzelców, furmanów i konie, kalwakada nasza ruszyła wesoło w tej nadziei, że mamy tylko trzy mile do miejsca przeznaczenia, a zatem połowę tylko drogi, i że teraz pojedziemy z góry, to i jazda szybko pójdzie. Lecz, o zwodnicza nadziejo! teraz dopiero poznaliśmy co to jest zła droga, co to znaczy droga prowadzona korytem rzeki górskiej, ciągnącej się przez 2 mile, bo od Dwernika aż do Górnych Bereh, kamienie jedne większe od drugich, dochodzące nieraz wysokości wozu, pomiędzy nimi naturalnie dziury odpowiednie, wózek nieszczęśliwy miota się i przychyla na wszystkie strony, jeszcze nieszczęśliwsze konie potykają się, padają i podnoszą co chwila, a najnieszczęśliwszy myśliwy bawi się *nolens volens* w epileptyka. Zacny, zapalczywy bracie łowcze, jeżeliby przeznaczenie w swych niezbadanych wyrokach chciało wysłać cię tą drogą na polowanie, czy za jakim innym interesem mniej przyjemnym, posłuchaj mej rady opartej na doświadczeniu, jeżeli chcesz dojechać z jak najmniejszym uszczerbkiem zdrowia i mienia. *Primo:* masz w dzień wyjazdu od rana nic prawie nie jeść i nie pić, aby uniknąć trzęsienia kiszek i nieznośnej kolki w boku; *secundo*: języka nie kłaść na zębach *n. b.* jeżeli posiadasz zęby swoje własne, wprawiane wyjmij i włóż w pudełeczko, możesz to śmiało zrobić, bo przez drogę nie będziesz miał powodu do śmiechu, to nikomu braku ich nie pokażesz, żadna piękność niewieścia tam cię nie zobaczy, ani ty jej nie ujrzysz, bo piękności w tak dzikich i nieprzystępnych ustroniach jaką jest droga od Dwernika, gniazdek swych nie zakładają; *tertio:* ubierz się lekko lecz ciepło w wysokie jak najwyższe buty, abyś wyskakując do wody przy możebnym wywrocie nóg nie zamoczył i nie zmarzł; *quarto:* kapelusz miej z gumką przymocowaną do guzika, a jeżeli nie masz gumki, to proś towarzysza, by ci go zwyczajem studenckim na głowie utwierdził, abyś nie był narażonym na strącenie go przez gałęź i na gonienie za nim po wodzie; *quinto:* często się macaj po nogach i rękach czy są na swojem miejscu, czy przy gwałtownych podrzucaniach nie wyskoczyły; *sexto:* nie mów wiele, bo cię twój towarzysz nie usłyszy, a nabawisz się chrypki, zapalenia gardła lub czegoś podobnego, a przyjechawszy na miejsce i obmacawszy, że wszystkie twe członki w porządku, odetchnij głęboko i wznieś dziękczynnie ręce do opatrzności, że cię tak szczęśliwie przeprowadziła. Oto są moje rady, dodam jeszcze jedno, mianowicie, abyś, nie tracąc czasu, starał się zaraz o nocleg, o który w nędznej wioszczynie górskiej nie łatwo, tam z kurami spać chodzą, a jak Rusin zaśnie, to go w pierwospy i hukiem armatnim nie obudzisz. Ciągnę dalej naszą wyprawę, przybyliśmy nareszcie na miejsce, znudzeni, znużeni, zajeżdżamy na opuszczone probostwo, z którego przed paru laty ksiądz uciekł, tak mu tam dobrze było. Obecny dzierżawca chłop nie chciał nam zrazu pozwolić w niem się rozkwaterować, dopiero po dłuższych rokowaniach, prowadzonych z asystą okowitki, przystał na nasze propozycye. Co się dalej tego dnia działo, nie wiem, wiem tylko tyle, że coś na wpół we śnie jadłem i coś piłem i że rzuciwszy się na rozesłane siano spałem snem kamiennym aż do białego dnia, bo znużony byłem drogą nad wyraz, pamiętam jeszcze, że jakoś nad ranem nasz współtowarzysz p. Mic... popychał mnie i mruczał, że go strasznie żebra bolą, bo mu wszystko siano zabrałem i spi na gołej podłodze, zdaje mi się, że mu się usunąłem, ale może i nie, bo ciągle na swe nieszczęśliwe żebra narzekał. Rano po naradzie z Fedorym, chłopem myśliwym zamiłowanym, mieszkającym w Berehach, który zna wybornie każdą ostoję jeleni we wszystkich okolicznych lasach, wyjechaliśmy na koniach na Rafkę, połoninę najwyższą w okolicy, i zaczęliśmy prawdziwe łowy. W pierwszym miocie psy nic nie gnały, zwykle się tak dzieje, że psy, nie nawykłe do jeleni, pierwszego albo bardzo słabo albo wcale nie gonią. W drugim miocie nie lepiej, chociaż psy już zaczęły gonić, przegnały trzy sztuki miejscem, na którem nikt nie stał i zaraz wróciły, dopiero w trzecim miocie doznaliśmy prawdziwego wzruszenia, psy ruszyły parę sztuk, podzieliły się na dwie partye i goniły bez ustanku koło nas. Gon trwał przeszło godzinę, każdy z nas zdenerwował się do najwyższego stopnia, każdy widział lub słyszał jelenia, lecz jeszcze nikt nie strzelał. Pomimo takiego rozstrojenia nerwów, w jakim byliśmy, każdy z nas stał, jak powinien na swem stanowisku, nikt się krokiem naprzód ani w tył nie posunął, bo każdy wiedział, że to z kulą sprawa, której lada gałązka lub kora drzewa nie powstrzyma, i że można ją najniewinniej w świecie sąsiadowi w bok wpakować. Wreszcie na niższem stanowisku pada strzał jeden, zaraz po nim drugi, w małą chwilę trzeci i czwarty, w każdym z nas pulsa biją silnie, słuch się wytęża, psy grają wszystkie razem gęsto, widocznie wzięły na oko, wrzask przechodzi prawie w wycie, naraz wszystko ucicha, a więc legł ów król lasów, wydając ostatnie tchnienie, lecz nie, psy znów wrzasły wszystkie, gonią, i znów naraz cicho, słychać tylko trąbkę, potem dwie, trzy, trąbią pojezdnego, a więc został, upadł jeleń. Schodzimy się razem, dopiero zapytania kto strzelał? do czego? co zrobił i t. d. Dowiadujemy się, że pierwszy strzelał p. Zię... do grubego rogacza, a drugi jego leśniczy do tejże samej sztuki już postrzelonej. Ponieważ było tak ciemno, że zaledwie ścieżkę odróżnić możemy, a leśniczy odzywa się w potoku daleko od nas, zatem nie tracąc czasu po krótkiej naradzie maszerujemy pod górę do obozu. W jakiś czas po nas przychodzi leśniczy pana Zię... i opowiada, że po drugim jego strzale jeleń upadł, dobiegłszy wziął go za przedni badyl, jeleń się zerwał i zniknął w potoku, psy poskoczyły za nim, zaraz ucięły i po chwili wróciły do niego, a że się już całkiem ciemno zrobiło, nie mógł pomiędzy łomami jelenia szukać, więc pospieszył za nami. Noc spędziliśmy nie głodno ale chłodno na polance, jako tako osłoniętej drzewami od ostrego wiatru, nie mogąc sie doczekać rana, wysłuchując naokoło beczących jeleni i układając plany na jutro. Nareszcie zaświtało, jelenie silniej zaczęły ryczeć, już i drozd zaświstał w krzaku, a pilny bo głodny pracownik dzięcioł kuje dziurę w spróchniałym buku. Pobudziliśmy naszych ludzi i wysłali szukać wczorajszego jelenia, a sami zmarznięci dzwoniąc zębami przeciągamy zesztywniałe członki i zaczynamy się krzątać około herbaty, którą nam poczciwy Iwanko przyrządził. Nie będę opisywał, jak nam smakowała, jak doskonałymi były kapuśniaki przygrzywane na popiele, jak gospodarz zachęcał a my jedli, jak p. porucznika G., istną panienkę, sekowaliśmy bezsenną nocą pełną marzeń itd., nie mogę opisywać, bo oto trzeszczy w lesie, to nasi wysłańcy wracają wlekąc w dziesięciu na

gałęziach prześlicznego jelenia dziesiątaka. Poczęły się oglądania, debaty, jak dostał, który strzał czyj, gdzie i jak leżał, kto go pierwszy znalazł i t. d.?

Polowaliśmy jeszcze trzy dni, lecz już bez skutku, chociaż jelenie tak ładnie obkładały przed psami, jak jeszcze nigdy nam się nie zdarzyło widzieć. Dopiero w ostatnim dniu jeden z leśnych strzelił do jelenia raz, bo druga lufa mu nie wypaliła, chybił i jeleń z całą skórą poszedł na Węgry i już nie wrócił. Na mnie również wyszedł rogacz, stanął mi nad samym potokiem na strzał, złożyłem się i kłap, zawiódł ładunek u expressa, pierwszy dopiero, odkąd strzelam z niego, z drugiej lufy już nie można było strzelić, bo jeleń tylko raz skoczył i już łomotał gałęziami i łomami po potoku.

Zabawiwszy jeszcze parę dni w staropolskim gościnnym aż do zbytku domu Państwa Zię..., rozjechaliśmy się, dążąc do swych obowiązków, dawszy sobie słowo zjechania się znów na rok przyszły. *Wł. Zaleski.*

Z Krakowskiego w Grudniu 1884. (Król. Pol.)

Z prawdziwą przyjemnością pospieszam donieść o rezultacie odbytych polowań w naszych stronach, t. j. w Chrobrzu przez dni trzy u JW. Margrabiego Wielopolskiego i w Górach przez dni dwa u JW. Dembińskiego. Większa cyfra ubitej zwierzyny, wymownie świadczy, że i w naszych ciężkich warunkach, mimo fatalnych służebności i rozwielmożnienia się kłusowników, protegowanych przez smakoszów niemyśliwych, przez miasta powiatowe i stolicę gubernii, można dojść do pięknego zwierzostanu, byleby rozporządzać większą przestrzenią czy to pól czy lasów. W d. 29. Listopada polowaliśmy na Chroberskich polach w kociołki otwarte *(streifen)*. Właściwego polskiego wyrażenia nie znam na tego rodzaju polowanie, i uprzejmie upraszam kompetentnych o łaskawe wskazanie wyrazu czysto polskiego. Nagonki było około 300 ludzi. Na przestrzeni dwóch wiorst pól, dziesięciu myśliwych rozstawiło się w równych odstępach, razem z nagonką główną, półwiorstwowe dwa skrzydła opatrzone były w sznury z płatkami różnokolorowymi, co razem stanowiło rodzaj podkowy. Na dany sygnał cały ten zastęp bojowy ruszył naprzód, tak postępowaliśmy w prostej linii mniej więcej 8 wiorst, strzelając dosyć daleko do pomykających zajęcy lub pudłując do ciągnących nad naszemi głowami kuropatw. Najmilsza rozrywka czekała myśliwych przy zamknięciu tego kotła, skrzydła bowiem w oznaczonem miejscu zeszły się, środkowa nagonka wraz z myśliwymi zatrzymała się w prostej linii, a wszystkie zające pędzone wolno przez nagonkę, naraz znalazły się w zwyczajnym zamkniętym kociołku, straszone sznurami skrzydłowych, uderzały odważnie na myśliwych, ginąc od celnych strzałów. Tego dnia zrobiono takich kociołków tylko dwa, w których padło w 10 strzelb: 132 zajęcy, 2 jastrzębie, 1 kuropatwa i 1 wrona. Deszcz ze śniegiem bardzo nam przeszkadzał, a choć zmoknięci prawie do nitki, zadowoleni z tak pięknego polowania, w wesołym nastroju powróciliśmy do domu. Królem polowania był hr. Antoni W., znany we wszystkich dzielnicach Polski, jako dzielny myśliwy, zabił tego dnia 27 zajęcy. Dzierży on silnie w swem ręku królewskie berło myśliwskie, i nie tak łatwo ktokolwiek może mu je wytrącić, a swoim humorem i niezwykłym dowcipem rozwesela całe grono myśliwych. — W dniach 1. i 2. Grudnia polowaliśmy w lasach Chroberskich. Nagła zmiana temperatury nie była zbyt miłą, bo ośmiostopniowy mróz z szalonym wiatrem natarczywie się do naszych skór dobierał. Ciepła polewka piwna, podawana podczas śniadania w lesie, jest najlepszym choć mało używanym napojem dla rozgrzania zmarzniętych członków. W ciągu dwóch dni padło: 4 rogacze, 3 lisy i 88 zajęcy. — W dniach 3. i 4. Grudnia polowaliśmy w Górach, w znanych przez wielu myśliwych z Krakowa rewirach Michałowskich; padło: 1 rogacz, 1 lis, 127 zajęcy, 1 jastrząb i 1 sojka. Reasumuję te pięć dni dla lepszego przedstawienia ogólnego rezultatu:

	dni	strzelców	rogacze	lisy	zajęce	różne	razem
w Chrobrzu . .	3	10	4	3	220	4	=231
w Górach . . .	2	10	1	1	127	2	=131
razem . .	5	10	5	4	347	6	=362

wyraźnie sztuk trzysta sześćdziesiąt dwie.

W ogóle, stan zajęcy jak na nasze stosunki bardzo dobry, sarn stosunkowo o wiele mniej, a to z powodu: 1) kłusowników, czyhających przedewszystkiem na te piękne zwierzęta; 2) rokrocznego strzelania kóz w sąsiednich lasach należących do Złoty i 3) niezłych, choć nieco luźnych przepisów myśliwskich, obowiązujących w naszym kraju, zupełnie nie przestrzeganych. O ile znam polowania w Królestwie, to tylko Państwo Stanowskie posiada o wiele więcej zwierzyny, lecz przy znacznych kosztach wyżywienia. W Chrobrzu i Górach tylko nadzwyczajny dozór, nie wymagający zbyt wielkich nakładów, jest przyczyną tak pięknego rezultatu, to też administracya tak dóbr jak i lasów zasługuje na szczerą pochwałę. Polowania te prowadzone były wzorowo przez samych właścicieli, a każdy z zaproszonych, dzięki Ich uprzejmości i gościnności, wywiózł najmilsze wspomnienie. Wesoła wieczorna pogawędka w pantoflach, (które są jedną przyjemnością więcej po całodziennem zmęczeniu, skoro kilkudniowe polowania odbywają się bez towarzystwa nadobnych Pań, choć i w tych razach pantofel moralny nieunikniony), i trzy robry taniego wista, wybornie usposabiały do spokojnego snu.

W naszych stronach, w których na większą skalę uprawiamy rzepaki, gdzie małe gaiki, te naturalne remizy, urozmaicają nasze pola, jakże łatwo możnaby dojść do dobrych polowań, gdyby sąsiedzi czy to myśliwi czy nie, zechcieli zawiązać się w spółkę łowiecką na kilkunastu tysiącach morgach. Zwierzyny po kilku latach byłoby wiele, polowania mogłyby się co dwa tygodnie odbywać, a tak zdrowa rozrywka sowicie opłaciłaby się prawdziwą przyjemnością dla myśliwych i dobrem pieczystem dla wszystkich. Niewielki nakład w celu utrzymania dwóch strzelców byłby konieczny, rozłożony jednak na kilkunastu stowarzyszonych, nie byłby uciążliwym. W naszém obecnem usposobieniu, głównie w apatyi myśliwskiéj, jest to niestety prawie niemożliwem. Sąsiedni nasz powiat Stobnicki, mogący się już pochwalić ładnemi polowaniami, dzięki sąsiedzkiej solidarności, powinien nam być w tym razie przykładem. *Jeden z zaproszonych.*

KRONIKA.

Z Ukrainy. Wasylówka.

Nie mając ani czasu ani wprawy do pisania artykułu literackiego, radbym tylko jako myśliwy dać obraz istotnych przyjemności i korzyści myśliwstwa, dla zachęty i obudzenia interesu u tych osób, które tej przyjemności i tyle dla zdrowia potrzebnej rozrywki ocenić nie umieją i z lekceważeniem patrzą na myśliwych. Myśliwstwo nie od dzisiaj się poczyna i rozkwita, minione czasy więcej miały zwolenników tej rozrywki, nawet pośród ludzi, których wyższe wykształcenie, szlachetny charakter i poczucie obowiązków społecznych pociągały do spraw poważniejszych, a którzy przy zajęciach obywatelskich, ściśle z potrzebami społeczeństwa zespolonych, zawsze znajdowali chwile wolne dla oddania się łowom. Czas wszystko zaciera, ale co dobre podtrzymywać się godzi, dla tego uważam jako słuszne nawoływanie i zachęcanie do pielęgnowania myśliwstwa, a miłego nam „Łowca“ za wydawnictwo bardzo potrzebne i pożyteczne. Dziś, gdy obojętność opanowała ogół, gdy w skutek ustroju społecznego wszystkie nasze sprawy zamknięte są w szczupłem kole osobistych interesów i domowego ogniska, dzisiaj zapominamy o tem, że myśliwstwo pozostaje nam jako jedyna gałęź przyjemnej rozrywki, która służy zdrowiu, gdyż podtrzymuje fizyczne i moralne nasze siły i nie tylko nie demoralizuje ludzi, przeciwnie, usposabia do dobrego, nie tylko nie odsuwa od życia społecznego, lecz łączy w towarzyskiej zabawie. Jeżeli zadamy sobie trud zastanowić się nad prawdziwym myśliwym dawnej daty, lub też młodym człowiekiem wzrosłym w towarzystwie i pod kierunkiem dobrych myśliwych, to znajdziemy w nim zawsze zdrowie czerstwe, charakter prawy, wolę energiczną i usposobienie towarzyskie. Odmienne cechy spostrzeżemy u ogółu prawie teraźniejszej młodzieży, wychowanej w innych warunkach, młodzieży bardziej salonowej, tu przeważa jakaś zniewieściałość, niedołężność. Zdarzyło mi się słyszeć młodzieńca, ledwie po dwudziestym roku życia, narzekającego, że zdrowie mu szwankuje, energia ostyga, siły opuszczają, że jest znudzony światem, a polowania nie lubi, gdyż naraża go ono na rozmaite niewygody i męczy. Wszystko to jest prostem następstwem dzisiejszego trybu wychowania, są to skutki zaniedbania dawnej metody hartowania się w latach młodych za pomocą polowania, konnej jazdy, fechtunku, gimnastyki. Metoda to dawna, ale i dzisiaj, choć mało gdzie się praktykuje, uważana jest za dobrą, bo rozwijając prawidłowo siły fizyczne, korzystnie zajmuje czas swobodny, broni od bezczynności i nudów, a zarazem formuje tęgość i prawość charakteru; a że jest dawną, powinna być tem droższą, wszakże obowiązkiem naszym jest trzymać się zwyczajów naszych praojców, być wiernym tradycyi. Gdybyśmy nawet ośmielili się twierdzić, że myśliwstwo jest zabawą czczą i niepożyteczną, to cóż natomiast postawimy? Czy może płoche hulanki, które nas demoralizują, ciało denerwują, rujnują siły fizyczne, a często i kieszeń, a zdrowia nie krzepią? Myśliwstwo formuje dla świata ludzi pożytecznych, bo polowanie dla młodego człowieka to niejako wojna, w której walczy siłą fizyczną, energiją, nawet umysłem i poświęceniem własnej osoby. Człowiek twardym trybem życia, do czego wybornie usposabia myśliwstwo, hartuje ciało i duszę, nie upada na duchu w czarnej życia godzinie i z ufnością wyczekuje lepszej doli, lepszych czasów! Nie jedną chorobę fizyczną, nie jedno cierpienie moralne, mizantropię, zwątpienie, wyleczyło myśliwstwo, a do iluż dzielnych czynów stało się podnietą! Dla nas szczególnie jest myśliwstwo dźwignią naszych sił, podstawą hartu duszy, którego nam wiele potrzeba. *Antoni z Rokszyc Zapolski.*

Z polecenia Walnego Zgromadzenia gal. Towarzystwa łowieckiego, które sądziło, iż nieuiszczanie wkładek rocznych przez dosyć znaczną liczbę członków polega głównie na prostem zapomnieniu; rozesłał Wydział tegoż Towarzystwa owym członkom wezwanie do uiszczenia zaległej wkładki tem bardziej, że oni „Łowca“ w ciągu całego roku odbierali. Większa część wkładek wpłynęła już do kasy Towarzystwa bez wszelkiego oporu sz. członków. Inaczej przyjął to przypomnienie pan Kornel Szczepański. Do przekazu pocztowego dołączył on następujący dopisek: „Pierwsze numera tegoroczne odesłałem, widocznem więc było, iż nie myślę się nadal ambonować, pomimo tego nasyłano mi dalej, restancyę choć płacę, upraszam dalej mi nie przysyłać, ambonuję niemieckie, które są więcej fachowe i pouczające. Rudki 29./11. 1884. K. Szczepański. — W odpowiedzi panu S. musimy przedewszystkiem wyraźnie zaznaczyć, że nikomu naszego Pisma nie narzucamy, jakoż nie potrzebuje ono tego gwałtownego środka utrzymania swego bytu, kiedy już siedm lat bez żadnej subwencyi się utrzymuje, i dalszy byt ma zapewniony. Numera „Łowca“ posyłaliśmy zgodnie z postanowieniem Walnego Zgromadzenia panu Szczepańskiemu tak długo, dokądby on nie uwiadomił, że z grona Towarzystwa łowieckiego jako członek jego występuje. Przyzna p. S., że w tym względzie słuszność po naszej stronie, i że chcąc się pozbyć niemiłego „Łowca“ powinien był to uczynić. Czy pierwsze numera odsyłał, istotnie nie pamiętamy, lecz i w takim razie mieliśmy obowiązek posyłać mu dalsze numera, dopóki on jako członek Towarzystwa warunku Statutem określonego nie dopełnił. Końcowy ustęp dopisku p. Szczepańskiego oddajemy pod sąd członkom naszego Towarzystwa i sądzimy, że wyrok nie będzie dla pana S. pomyślnym. Z naszej strony ośmielamy się zacytować słowa hr. Kaźmirza Wodzickiego, któremu zapewne p. Szczepański kompetencyi do wydawania sądu o sprawach i pismach myśliwskich nie odmówi, słowa wyrażone w liście do Redakcyi „Łowca“ z d. 22. Stycznia 1884 r.: „Łowiec jest najlepszem pismem myśliwskim z tych, jakie znam. Mieści w sobie naukę, podnosi łowiectwo nasze z pieluch na poważne stanowisko, bawi, rozrywa i zachęca do praktyki tego szlachetnego zawodu. Szczęść Boże w tej pożytecznej pracy i w uznaniu jej, na co zasługuje“. Pozwoli pan Szczepański, że w dalszych naszych usiłowaniach będziemy się opierać na zdaniu znakomitego naszego przyrodnika i myśliwego, a wcale jego twierdzenia o „Łowcu“ do serca nie weźmiemy. Jakkolwiek p. S. wyraźnie w dopisku swoim nie oświadcza, iż z Towarzystwa naszego nie występuje, to przyjmujemy bardzo chętnie tę niechęć jego dla naszych celów jako oświadczenie wystąpienia.

Na polowaniu w Łukowcu wyszedł na właściciela kniei zaraz po ruszeniu pogonki duży odyniec, który po pierwszym strzale padł na miejscu i potrząsłszy tylko nogami rozciągnął się. Gdy po upływie niemal pół godziny nagonka wyszła do strzelców i obstąpiła dzika, zawołał jeden z obławników: „Pane strylajte, bo win sia szczoś ruchaje“. Myśliwy kazał obławie ustąpić, aby mógł strzelić, co też uczynił. Po strzale dzik się zerwał i począł uciekać, po drugim strzale padł wyciągnąwszy nogi do góry, a gdy myśliwy strzelił do niego po raz trzeci dla pewności, podniósł się znowu, pomykał jeszcze lepiej — i tyle go widziano, bo polowano na czarnej stopie. *O. B.*

Na polowaniu u p. Władysława Przybysławskiego w Uniżu ubito w 5 strzelb w dniach 20.—22. Listopada: 7 dzików, 2 kozły i 6 zajęcy. *A. K. leśniczy.*

Myszkowce, 22. Listopada 1884.

Dzisiaj wyszedłem do lasu dla zabicia rogacza, niechcąc rozganiać sarn wziąłem jednego tylko psa i jednego myśliwego. Polowałem w kniei leżącej tuż nad Sanem, po drugiej stronie Sanu jest las duży, w którym sarny stale przebywają. Dzisiaj mieliśmy 10 stopni mrozu, wskutek czego San pokrył się na cal grubym lodem, na przestrzeni między dwoma kniejami jest głębia wielka, zwana Wyr Balowski, nazwa pochodzi ztąd, że przed laty miał się tam utopić jeden z rodziny Balów. Wyr cały był zamarznięty, w środku tylko do 70 łokci szerokiej rzeki została struga wody 30 łokci długa a 12 szeroka. Stałem nad Sanem na skale tak, że mogłem strzelać aż do Sanu na dół i w ubocz do góry; miejscem tym przechodzą sarny i lisy gonione psami. Pies trafił rogacza, po gonie trwającym z 10 minut widzę rogacza o 140 kroków idącego wprost na lód. Skoczywszy na gładką powierzchnię upadł, ale zerwał się, w szalonych susach wskoczył w strugę, przepłynął na drugą stronę, gdzie zaczął łamać lód, lecz wydostać się na powierzchnię nie mógł. Wrócił, by próbować wydobyć się tam gdzie wskoczył do wody, lecz wysilenia były daremne, na to nadbiegł pies i bez namysłu skoczył do strugi. Załamanie cienkiego lodu i zimna woda ostudziły jego zapał, nie płynął więc za rogaczem, lecz starał się wydobyć na lód, ale i psu to się nie udawało. Tak w zupełnej zgodzie rogacz i pies niedaleko siebie walczyli o życie, rogacz zrobił kilkanaście konwulsyjnych wysileń, przewrócił się na wznak i utonął; pies widząc że źle z nim, szczekał, wył, drapał się na lód, lecz wydobyć się nie mógł, głos jego stawał się drżącym od zimna, słabł widocznie, następnie starał się tylko utrzymać nad wodą opierając mordę o kraj lodu, w pięć minut zanurzył się na chwilę

lecz wypłynął, w dwie minuty później poszedł pod lód i utonął. O ratunku nie było mowy, działo się to na środku rzeki w miejscu bardzo głębokiem, lód zaś od brzegów był zaledwie na cal gruby, dostać się do środka było niepodobieństwem. Pies utonął pełniąc swój obowiązek i nawet po śmierci popłynął w ślad za rogaczem, którego przed nim woda poniosła, a ja musiałem się temu przypatrywać bezczynnie, nie mogąc go ratować. Wróciłem do domu zmartwiony i zasiadłem do biórka, by ten wypadek za pośrednictwem „Łowca“, kolegom myśliwym opowiedzieć. *Teofil Żurowski.*

Brzeżany, 20. Listopada.

Tegoroczne jesienne polowania, których w tutejszych obszernych, do skarbu brzeżańskiego należących lasach, kilka urządzono, nie odpowiedziały oczekiwaniom. Wprawdzie o tej porze zając zwykle poza obrębem lasu przebywa, zwłaszcza gdy czas pogodny, a takim był do pierwszych dni listopada, ale podobno nie wiele będziemy mieli zajęcy, bo uległo ich nie mało zagładzie wskutek słotnej wiosny i następnych powodzi. Ponowa miała okazać, o ile przypuszczenia nasze były prawdziwe. Niestety pierwsze polowanie na białej stopie, które się odbyło 15. b. m. w rewirze narajowskim, w tak zwanym Zapuście lwowskim, utwierdziło nas w mniemaniu. Polowano w 15 strzelb z nagonką i pokazało się że zając jest rzadki. Prawda, że dzień był potemu niefortunny, bo ogromna okiść na drzewach, zwisając aż do ziemi, czyniła pogonce niemożliwym należyty pochód, a zającowi trudne tam przesiadywanie. Przeszkody te jednak nie usprawiedliwiają skąpego wyniku tego polowania co do zajęcy w rewirze, którego zwierzostan należy do lepszych i obfituje w sarny. Dziwny brak ich się okazał. „Co to jest, że nie widać sarn, chociaż ślady ich są?“ pytał jeden drugiego. Zagadka wnet rozwiązaną została po drugim miocie wiadomością, że strzelano do wilków, których było cztery. Więc nieproszeni goście już przed nami polowali na sarny i wyszli na linję myśliwych tak gładko, jak się nie zdarza nawet przy wielkich na nią obławach i przy zachowaniu wszelkiej przezorności, wyszli jak na sznurku, no — i padli zapewne, pomyślisz łaskawy czytelniku! Tak by sobie każdy myśliwy, każdy miłośnik sarn, tej ozdoby naszych lasów życzył, wiedząc, jakie spustoszenie zrządza wilk między niemi, gdy się pojawi w kniei, gdzie one przebywają. Niestety strzały były niefortunne, wilki postrzelane przeszły linję myśliwych, znacząc swoje ślady farbą i padła tylko jedna młoda wadera od strzału młodego pana Rudolfa M., który położył ją na miejscu, i zyskał godny zazdrości tryumf! Snać wilki uraczyły się dobrem śniadaniem, bo ubita wadera była bardzo objedzona, a ślady i znalezione szczątki sarnie wzkazywały niewątpliwie, jaki sobie bal wilcy sprawili. Pożarli sarn nie wiadomo ile, resztę rozpędzili, bośmy w żadnym miocie ich nie widzieli. Oto dowód, jak straszne spustoszenie sprawia wilk w kniei.

Wilki, które uszły, postrzelane mocno, dziwna jednak, że nadspodziewanie w jednym z dalszych miotów znowu jeden z tych samych wyszedł na myśliwych, i strzelany na całej prawie linji uszedł, ale zapewne już teraz nie chodzi, bo poniósł z sobą dużo śrutu. Ubito ostatecznie jednego wilka, 3 lisy i 4 zające, rezultat co do liczby nie świetny, ale z tego względu bardzo pomyślny, żeśmy oczyścili rewir z drapieżców. Polowano potem znowu w parę dni w innym rewirze i zauważano stosunkowo wielką ilość lisów, padło ich aż 8, prócz tego 4 rogacze i 10 zajęcy. Strzelano też do dzików, ale nieszczęśliwie, żaden nie padł. Spodziewamy się ich tej zimy tutaj dosyć, bo bukwa obficie obrodziła a i żołędź potrosze. *Gozdawa.*

Łańcut, 20. Listopada.

Aby zapobiedz skutecznie szerzącemu się kłusownictwu i zbiorowemi siłami przestrzegać ściśle Ustawy łowieckie, a tem przyczynić się do pomnożenia zwierzostanu, zawiązał się w Łańcucie w jesieni r. 1881. Klub myśliwski „Diana“. Pierwotnie składał się on z siedmiu założycieli, a jego obszar łowiecki tylko z jednej wydzierżawionej gminy. Mimo najlepszych chęci założycieli nie miałyby zabiegi ich przy tak ograniczonych środkach donioślejszego znaczenia, gdyby nie doznały silnego poparcia i czynnej pomocy JW. hr. Romana Potockiego, gorliwego spraw łowieckich w kraju opiekuna. Nie tylko przyjął on łaskawie protektorat nad Klubem, ale w uznaniu znaczenia zamierzonego celu polecił wydzielić obszary czterech gmin z ordynacyi Łańcuckiej i oddać je na użytek Klubu. Nadto kazał Straży łowieckiej ordynackiej dozorować owe cztery obszary. Wskutek takiego zarządzenia utrzymuje Klub tylko jednego płatnego dozorcę polowania na tym swoim obszarze myśliwskim, który leży poza obrębem ordynacyi Łańcuckiej. Pomoc ta JW. Protektora wpłynęła zbawiennie na rozwój spraw klubowych i przynosi już pożądane owoce. Jakkolwiek w pierwszym zawiązku klubu liczył tenże tylko 7, do końca zaś roku 1883 tylko 12 członków, a wkładki, prócz wpisowego, wynosiły miesięcznie 1 złr. od każdego członka, to jednak miał klub dochodu do końca Grudnia r. 1883 brutto 352 złr., a ogólny obrót kasowy wykazał 704 złr. Znaczną część dochodu uzyskano ze sprzedaży zwierzyny, ubitej na polowaniach klubowych od Września r. 1881 po koniec Grudnia 1883. W tym przeciągu czasu zabito: 2 rogacze, 6 lisów, 8 kuropatw, 3 słonki i 106 zajęcy. Wynik ów świetny, osiągnięty w tak krótkim czasie, nie sprzyjającym rozwojowi zwierzyny i stosunkowo na małym obszarze, wystawionym dotychczas na łup wszystkich miejskich i przedmiejskich kłusowników, jest nowym dowodem, ile w tym kierunku nawet z małymi środkami podjęte usiłowania zdziałać mogą, jeżeli znajdą równie silne i skuteczne poparcie. Żywimy też niepłonną nadzieję, że z czasem, a zwłaszcza po rozszerzeniu i zaokrągleniu naszego myśliwskiego obszaru, wykażemy znaczniejsze rezultaty, a w każdym razie pomnożony zwierzostan.

Miłkowski,
skarbnik klubu „Diana“.

Ze Stanisławowskiego.

Mieszkaniec stały wschodniej części kraju, po długiej niebytności na Mazurach, wybrałem się w początkach Listopada w tamte strony do kolegi i pryjaciela. Znalazłem u niego dość liczne zebranie czcicieli św. Huberta, a że i ja do nich należę, więc bawiliśmy się wybornie. Nim przystąpię do sprawozdania muszę zwrócić uwagę, jak to często dziennikarstwo łatwowierną publiczność w błąd wprowadza. Czytaliśmy w lecie b. r. liczne artykuły o walce stronnictw po powiatach, a szczególnie w Łańcuckim, co zapewne dało powód do tryumfu pismom niemieckim i rosyjskim, a ja przeciwnie znalazłem tu zgodę i jedność, jakiej daj Boże wszędzie. Bez swarów i zawiści radzą tu wszyscy o dobru powiatu Zwróćmy się po tem zboczeniu do myśliwstwa. Po małem, rozmaitością zwierzyny ubarwionem polowaniu u mego kolegi, przypadło właśnie pierwsze tegoroczne polowanie Towarzystwa myśliwskiego, istniejacego już rok czwarty. Jako zaproszony gość wziąłem w niem udział i wyniosłem z tego dnia miłej zabawy nader przyjemne wrażenie. Kilkunastu obywateli oddało na lat sześć prawo polowania na swoich polnych obszarach Zarządowi tego Towarzystwa, którym kieruje prezes jego Władysław Bzowski. Dzierżawi też Towarzystwo pola gminne, poluje przeto co roku przez dni kilkanaście na obszarze około 26.000 morgów. Podczas mojej obecności wypadła kolej na dwie gminy. Zebrało się myśliwych dwudziestu, a na każdego przeznaczono dziesięciu chłopców nagonki pod przewodnictwem umundurowanych dozorców, którzy przez cały rok gorliwie zapobiegają kłusownictwu. Ład, spokój i prowadzenie łowów były wzorowe, kociołki zarządzano umiejętnie. Ubiliśmy 53 zajęcy, 4 kuropatwy i jastrzębia. Wieczorem tegoż dnia odbyło się Walne Zgromadzenie Towarzystwa po obiedzie u prezesa. Byłem świadkiem uroczystości, doręczenia prezesowi przez członków Towarzystwa bardzo pięknego puhara z odpowiednim napisem, z którego też wychylono „kolejką“ zdrowie jego. Po licznych toastach, żwawej pogadance, po północy rozeszliśmy się na spoczynek. Obyśmy wiele mieli takich Towarzystw, istotnie pożytecznych, zgodnie do zamierzonego celu dążących, a tak dzielnie budzących łączność i życie towarzyskie. *S. B.*

P. R. Mowa tu zapewne o „Klubie myśliwskim w Łańcucie“, o którym mimo jego czteroletniego istnienia, „Łowiec“ dziś dopiero otrzymuje niedokładną wiadomość. Prosimy o bliższą.

Litwinow, 13. Grudnia 1884.

Na polowaniu w Sosnowie w lasku 60-morgowym ubito w 5 strzelb: 15 zajęcy. Z powodu wielkiego śniegu, uciążliwego dla pogonki, znaczna ilość zajęcy umknęła w pole. Widziano także sarnę. W rewirach litwinowskich rozmnożyła się wielka ilość dzików, a że żołędź i bukwa potrosze zrodziły, trzymają się miejsca. Niedawno przy polowaniu na zające wyszło na mnie 16 sztuk, ubiłem jednego warchlaka śrótem. Wczoraj raportują mi otropione dziki w lesie dębowym. Zebrawszy na prędce kilku strzelców i kilkunastu chłopców pogonki udałem się na wskazane miejsce. Zastałem cały las przeryty, tropów świeżych i starych mnóstwo, a że odwilż była na dworze i śnieg niknął, o dokładnem otropieniu myśleć nie było można. Pogonka przeszła, dzików nie było, biorę zrąb, dzików nie ma. Wracam do domu obiecując sobie przy pierwszej ponowie dokładnie za dzikami przeszukać: gdy siadam na sanie, widzę przez pole posuwające się całe stado dzików większych i mniejszych w odległości przeszło tysiąc kroków, porachowałem 23 sztuk. Leżały w okrajku zrębu od pola w krzaczkach, w których zaledwie zajęczyna lub kuropatwa znalazłaby schronienie. *E. Lityński.*

W dniach od 4. do 13. Grudnia odbywalo się w dobrach ordynacyi Czarkowskich polowanie, na którem ubito: 2 dziki, 23 kozłów, 3 lisy i 201 zajęcy. *Tadeusz Czarkowski.*

W majątku hrabstwa Alfredów Potockich Antoniny na Wołyniu polowano w dniach 2. i 4. Grudnia w lesie Czerniatyńskim, w 7 strzelb, na przestrzeni 700 morgów. Zabito 3 dziki, z których jedna sztuka duża, 7 rogaczy i 51 zajęcy. Panowie Potoccy wcale nie strzelali do rogaczy. Ja także ubiwszy przed dwoma dniami na podjeździe rogacza, już podczas polowania do nich nie strzelałem. Rogaczy można było zabić dwadzieścia, i więcej. — Z całem uznaniem trzeba dodać, że w nader trudnych stosunkach administracyjnych, przy zupełnem nieprzestrzeganiu praw myśliwskich, stan zwierzyny jest bardzo piękny. Gospodarstwo lasowe i myśliwskie są tu wzorowe, a polowanie prowadzone było według wszelkich należnych form. Prawdziwa to zasługa hr. Józefa Potockiego, który gorliwie i umiejętnie zajmuje się administracyą lasów i myśliwstwem. Przez całą jesień polowano w majątku tym z chartami po polach, na których złapano około 200 zajęcy.

A. hr. Cetner.

Derewnia 24. Listopada.

Wczoraj miałem znowu otropione wilki, zabiliśmy pięknego samca, samica postrzelona farbując uszła w sąsiednie lasy. Trzeci to już wilk zabity u mnie w tegorocznej jesieni. Bardzobym pragnął, żeby ci nieproszeni goście rzadziej nawidzali moje lasy, gdyż wyrządzają mi ogromne szkody w zwierzynie. *Tadeusz Starzyński.*

Kutkorz 23. Listopada.

W nocy z 20. na 21. zjechali niespodzianie panowie myśliwi po skończonem polowaniu w Bilce u ks. Sapiehy do Kutkorza. Nazajutrz wzięliśmy 10 miotów i ubili 9 rogaczy, 24 zajęcy i 6 lisów. Ponieważ to polowanie było improwizowane, i panowie spieszyli się do odjazdu, więc skończyło się na tym rezultacie. Dodaję, iż starannie karmimy zwierzynę i sypiemy w budkach ziarno kuropatwom.

Henryk hr. Łączyński.

Wykaz ubitej zwierzyny w Śniatynce w ciągu r. 1883. Lisów 10, rogaczy 32, zajęcy 54, słonek 2. Drobniejszej zwierzyny nie liczono. W roku bieżącym stan sarn i zajęcy zapowiada najlepsze nadzieje, lisów stosunkowo mało, kuropatwy trzymają się dotąd miejsc jesiennych mimo dość wielkich śniegów, które od połowy miesiąca Listopada spadają codziennie prawie, w polach jednak silne burze pozdymały śnieg i odkryły żerowiska na oziminach. Odelga, która od dwóch dni nastała, objawia się silną migracyą drobnego zwierza i sarn na pola.

Zarząd lasowy.

W majątku Sarny, pow. Jaworowskim, polowano w dniach 11., 12. i 13. Grudnia w 16 strzelb przy pogodzie wcale nie sprzyjającej. Ubito: 12 rogaczy, 7 lisów, 34 zajęcy, 1 puhacza. Zajęcy mniej było jak zwykle, większa ich część znajdowała się w polu. *R.*

Curiosum. Przeglądając pismo wychodzące w Warszawie z roku 1883 p. t. Wiadomości bibliograficzne. Miesięcznik dla czytających i kupujących książki i pisma — znalazłem w spisie rzeczy pięć razy wzmiankę o „Łowcu". Zdziwiony, iż nasze Pismo tylokrotnie jest wspominane, szukam według wskazanych numerów owych wzmianek, i znajduję pięć razy: „Łowiec. Listy myśliwca. Korespondent płocki", a raz: „Łowca kalendarz myśliwski i rybacki na rok 1884". nigdzie zaś wiadomości o naszem Piśmie, wychodzącem od r. 1878. Czytelnik wraz ze mną domyśli się łatwo, że wymienione Pismo ściśle bibliograficzne wcale nie wie o istnieniu czasopisma myśliwskiego, a „Łowca" uważa jako autora-pseudonima, który umieszcza artykuły myśliwskie w „Korespondencie Płockim" i wydał Kalendarz myśliwski i rybacki. Domyśli się też czytelnik, że to pismo bibliograficzne nie bardzo dalekich zasięga informacyj. Możemy mu przeto służyć objaśnieniem, że „Korespondent Płocki", otrzymujący drogą wymiany naszego „Łowca", umieszcza z niego niektóre artykuły, podpisując źródło, z którego je czerpie. Mimochodem musimy wyrazić wdzięczność naszą dla „Korespondenta Płockiego", iż szerzy myśliwską wiedzę w gronie swoich czytelników. *Pl.*

Tarnopol 2. Grudnia.

Pozwalam sobie podać do wiadomości czytelników „Łowca", że zające zdają się być dotkniętymi obecnie epidemią motylicy. Przekonałem się o tem na sześciu zającach, zabitych w kilku laskach graniczących z Tarnopolem, wątroba ich była pokryta wrzodkami podługowatymi, żółtymi na całej powierzchni, lub znajdowałem na niej narośla pęcherzykowe, wodą wypełnione. *M. Paszkudzki.*

Z Komarniańskiego donoszą, że motylica wyniszczyła sarny do tego stopnia, iż w większych skarbach zaniechano zupełnie polowania na nie.

Lesieniki 7. Grudnia.

Ubiłem w tym roku 217 przepiórek, 54 chruścieli, 8 kuropatw i 37 zajęcy. Kuropatw znalazłem 5 stadek, w każdem od 5 do 8 sztuk. Dnia 20. Września ściągał wyżeł do całego gniazda przepiórek piskląt, które prawdopodobnie przed 3 lub 4 dniami wylęgły się. 4. Listopada polowano w 6 strzelb i 10 nagonki i zabito mimo bardzo nieprzyjaznej pory w przeciągu kilku godzin 8 zajęcy, 1 rogacza i 1 lisa. 6. Grudnia ubito w 5 strzelb 20 zajęcy i 1 rogacza. *J. K.*

Węgrzec 7 Grudnia.

Pojechałem wczoraj jako zaproszony na polowanie do Koźmic, wsi położonej w starostwie Wielickiem. Teren śliczny z gęstemi naturalnemi remizami. Na całym jednak obszarze polowania dworskiego i gminnego Koźmic, jakoteż gminnego „Bugaj" posiadającego przestrzeni przeszło 1000 morgów, nie ma ani jednego zająca, jak to widocznem było na śniegu już od tygodnia leżącym. Powód tej pustki jasny. Wyszedłszy pod las dworski zastaliśmy ośmiu kłusowników, z wójtem z Bugaju i leśnym dworskim na czele, polujących z dwoma psami gończymi na jednego zająca, który się tam gdzieś miał plątać po lesie. Właściciel majątku tego i polowania, stary człowiek, nie myśliwy, nie ma odwagi położyć tamy nadużyciom, co zresztą da się usprawiedliwić, dosyć bowiem przeglądnąć akta sądu kryminalnego Krakowskiego, aby się przekonać, że 90% morderstw, podpalań i kradzieży przypada na ten powiat. Kto temu winien, nie wiem, to jednak pewne, że małe przestępstwa nie są ścigane i karane należycie, a te prowadzą do większych. Jak się opiekuje Władza polityczna Wielicka swym powiatem, jak postępuje żandarmerya, najlepszy dowód w stosunkach łowieckich całego prawie powiatu. Zaprawdę smutne są one. Winienem dodać, że Koźmice i Bugaj oddalone są zaledwie o pół mili od Wieliczki, siedziby starostwa.

Wł. Zaleski.

W Styczniu wolno zgodnie z Ustawą strzelać do słonek, rogaczy, zajęcy, lisów, jarząbków, cietrzewi, głuszców, dropi, ptactwa wodnego i błotnego.

Składając szczerą podziękę wszystkim łaskawym współpracownikom i korespondentom, upraszamy ich, jakoteż innych myśliwych, o dalszą pomoc dla „Łowca", bez której Pismo to pomyślnie rozwijać się i skutecznie działać nie może. Obok szerszych rozmiarów prac pożądane są dla nas drobne zapiski, sprawozdania z polowań, i t. p., które nie wymagając wiele trudu zapełnią z nie małą korzyścią dla czytelników szpalty Pisma naszego.

INSERATY.

Jest do nabycia 300 par myłkusów sarnich, 3 dwudziestaki jelenie, myłkus jeleni i żywy jeleń trzyletni szóstak, pięknie wyrośnięty i w dobrej kondycyi. Bliższa wiadomość: Brzostowski. Stryj.

COGNAC

garantirt echt aus Weinlager gebrannt, versende in 4½ Liter Fässchen, gegen Nachnahme von 3 fl. 60 kr. En gros billigst. **Johann Scheibner in Oblas nächst Znaim.**

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.

Krajowe Towarzystwo Rybackie w Krakowie.

W położeniu materyalnem tak smutnem, jak to, w którem znajduje się Galicya, gdzie wszystko albo w zaniedbaniu, albo nie wiele wyrosłe po nad stan prymitywny, gdzie nędza i nieodłączna od niej demoralizacya społeczna wytwarza straszny obraz; wszelka działalność podniesienia w ogóle gospodarstwa i dobrobytu zyskiwać winna uznanie i poparcie. Niestety, nie zawsze tak u nas bywa

Towarzystwo Rybackie dla Galicyi, założone w Krakowie w roku 1879 wśród okoliczności nie najświetniejszych, rozwinęło w pierwszych trzech latach działalność tak wielką, iż zdawało się, że przynajmniej ta gałęź naszego gospodarstwa narodowego wkrótce na trwałych spocznie podstawach. Lat sześć już mija, a do ziszczenia tych nadziei daleko. A oto, jak było i jest:

Towarzystwo rozpoczęło swą działalność w obec istnienia jedynie dwóch okólników c. k. Namiestnictwa z r. 1872 i 1878, zakazujących łowienia ryb podczas tarła i używania dynamitu i innych środków eksplodujących. Dosyć liczne zakazy c. k. Starostw zapobiegały niszczeniu ryb tym sposobem. Nie przeszkodziło to jednak tępieniu ich trutką, które się praktykowało w rozmiarach iście barbarzyńskich. Nadużyciom tym kładzie znowu pewien hamulec okólnik c. k. Namiestnictwa z r. 1881. Wreszcie w roku 1882 we Wrześniu uchwala Sejm krajowy Ustawę ochronną, która też postanowieniem cesarskiem z d. 19. Listopada tegoż roku zostaje sankcyonowaną. W pracy nad tą ustawą, Towarzystwo Rybackie przyjmuje główny udział, czyni nakoniec liczne starania względem wydania prawa rybackiego, któreby obejmowało postanowienia względem własności rybołowczej. Mimo to jednak nie możemy powiedzieć, aby gospodarstwo rybne w Galicyi uzyskało już grunt stały a przyszłość zapewnioną. Wprawdzie brak prawa rybackiego wielce się przyczynia do tego, że gospodarstwo rybne nie może wejść na prawidłowe tory; dzikie rybołowstwo odstrasza niejednych właścicieli wód od wszelkiej akcyi na tem polu. To jednak nie usuwa wyrywającego się pytania, czy przy posiadaniu tego prawa kultura rybna się podniesie, i kto ma nad nią czuwać? kto ją pielęgnować i rozwijać?

Jest rzeczą wiadomą, że Towarzystwo Rybackie w Krakowie podniosło umiejętną i wszechstronną działalność na polu kultury rybnej. Nie jest w tej chwili moim celem wykazywać czynności Towarzystwa. Nie mogę jednak nie zaznaczyć, że choć pouczyło ono wzdłuż całego kraju wiele ludzi wychowu ryb i używania wylęgarń; choć zbadało rozsiedlenie ryb w naszych wodach, i ułatwiło tym sposobem samo prowadzenie gospodarstwa rybnego i wydanie ustawy rybackiej; choć zarybiło rzeki od Wisły do Prutu przeszło milionowym narybkiem; choć wyjednało u władz rządowych i autonomicznych pewne przepisy ustawodawcze i działalność egzekucyjną; choć sprawie rybackiej nadało szeroki rozgłos i w kraju i za granicą, to jednak w intensywnych siłach swoich zmalało, i dziś ma ich może mniej niż na początku.

Nie możemy się w tej chwili zastanawiać nad tem, jaka może być tego przyczyna. Być może, iż jest nią nasze w ogóle leniwe usposobienie; być może, iż sam sposób propagowania tej sprawy niezbyt odpowiedni, jeźli zważymy, że instytucya asocyacyj większy dla stowarzyszonych winna budzić interes, niż go mieć może kultura rybna; być może wreszcie, że inne zewnętrzne, niezależne od stowarzyszonych powody, wpływają szkodliwie na samą sprawę i ubezwładniają najlepsze chęci. Pozwolę sobie w tej chwili zaznaczyć tylko to, co nam podaje przeszłość i chwila obecna.

W sprawozdaniach Towarzystwa Rybackiego z lat poprzednich, znajdujemy niejednokrotnie stwierdzanem przez zarząd, że największy udział stowarzyszonych składa się z ludzi, nie mających ze sprawą rybacką bliższego interesu; że członkami jego są po większej części urzędnicy, profesorowie, lekarze i inni mieszczanie, którzy jako tacy nie wiele mogą przyczyniać się do podniesienia rybactwa. Ci zaś którzyby mogli tu działać skuteczniej, usuwali się, lub byli obojętni. „Właściciele wód zachowywują się zawsze jeszcze biernie“ — mówi jedno z przed lat paru sprawozdanie. Niestety, tak samo jest i obecnie. Ci ostatni stanowią zaledwie 21 procent bardzo skromnej, jak na krajowe towarzystwo, liczby członków — skromnej, mówię, bo prawie trzecia część tej, jaka niegdyś była.

To też jakby w przewidywaniu tego zarząd już wtedy wyraził swoje zapatrywanie, że Towarzystwo Rybackie jako takie, nie może gospodarować na cudzych wodach, ani też podobnej akcyi sobie zakreślać; może jedynie nieść pomoc prywatnej działalności rybackiej. Ta jednak okoliczność wykazała, że jeżeli działalność Towarzystwa nie ma się skończyć na teoryi, to główną, praktyczną akcyę rybacką powinni przejąć ci, którzy mają w tem bezpośredni interes i w ogóle, kulturę krajową na celu. Tymi mianowicie mieli być właściciele i posiadacze wód, ewentualnie ich reprezentacye gospodarcze, to jest Towarzystwa Rolnicze.

Tymczasem w początkach stało się przeciwnie. Zamiast coby Towarzystwa Rolnicze, zrozumiawszy swe zadanie, przejęły akcyę Towarzystwa Rybackiego; zapisały się niektóre jedynie na członków do niego, ograniczając tem samem całą swoją działalność do zapłacenia rocznie dwóch reńskich. I gdy ze związku tego nie doczekano się pomyślnych owoców i zauważono, że lepszych nie będzie, wyrażono przekonanie, że stosunek odwrotny lepiejby odpowiadał celowi. Towarzystwo więc na jednem ze swych Walnych Zgromadzeń powzięło uchwałę polecającą zarządowi, aby podjął rokowania z krakowskiem Towarzystwem Rolniczem co do połączenia się z niem.

Rezultatem tych rokowań, prezes Tow. Rybackiego został członkiem centralnego komitetu Towarzystw Rolniczych zachodniej Galicyi, a jako taki przewodniczącym utworzonej sekcyi rybnej w tymże komitecie.

Czy wszakże przejęcie akcyi rybackiéj przez komitet, ewentualnie krakowskie Towarzystwo Rolnicze w ostatecznie ułożonej formie może być praktycznem i skutecznem — ściśle tego nie rozważano. W jaki też sposób ma nastąpić połączenie tych Towarzystw, jakie znamiona ma mieć ten nowy związek, i jak mają się zarysować indywidualności obu stron w tym związku — tego nie rozbierano i odpowiedzi na to nie mamy. To też, pozwolimy sobie powiedzieć, że usiłowania te przed-

stawiają się właściwie jako poszukiwania nad wynalezieniem najlepszej, najodpowiedniejszej drogi dla działalności rybackiej; że są one z jednej strony oświadczeniem, iż dotychczasowa droga nie jest dobrą i pewną — z drugiej, że nowa droga nie jest jeszcze należycie narysowana. — Taki jest stan obecny w istnieniu Towarzystwa Rybackiego.

Jako nowo wybrany sekretarz tegoż Towarzystwa, z obowiązku poruczonego mi stanowiska, pozwolę sobie w następnym artykule wypowiedzieć o tem położeniu moje zdanie, by przez to dać możność łatwiejszego porozumienia się w Wydziale, a zarazem podać sposobność innym Członkom Towarzystwa do wyrzeczenia swego zapatrywania. Rzecz bowiem, mojem zdaniem, stanęła dzisiaj na tem stopniu, że bez dokładnego wyrozumienia sytuacyi można sprawie, której pożytecznie służyć chcemy, więcej przynieść szkody, niżeli korzyści.

Dr. Antoni Molicki.

W sprawie stawów.

(Dr. M. N.) Właściciel Tomic pod Wadowicami, p. Aleks. Gostkowski, hodowca ryb zaszczytnie w kraju i za granicą znany, wniósł do zarządu Towarzystwa Rybackiego w Krakowie w sprawie stawów („Tygodnik Rolniczy" nr. 37.) podanie następującej treści:

„W opinii publicznej naszej okolicy rozszerzyła się i utwierdziła hypoteza, że stawy są zdrowiu ludzkiemu bardzo szkodliwe z powodu wydzielania z siebie miazmatów, które unoszone przez parę wodną, zatruwają atmosferę i są przyczyną wielu chorób. Opinia ta posiada znaczną liczbę zwolenników i stara się wywrzeć na sfery rządowe pewien nacisk, ażeby rząd z tytułu policyi zdrowia nakazał istniejące stawy osuszyć i wzbronił zakładania stawów nowych. Właściciele stawów stoją pod zarzutem, jakoby byli nieprzyjaciółmi ludzkości i materyalnym zyskiem podporządkowywali hygienę i zdrowie ludzkie. Produkcya ryb jest bardzo doniosłą, ale dotychczas niewyzyskaną gałęzią bogactwa narodowego. Znaczne obszary w naszym kraju, które zawodnione być mogą, leżą odłogiem; masa wód ginie u nas nieprodukcyjnie, a przecież faktem jest, że ziemia eksploatowana jako staw, daje 2 do 4 razy wyższą rentę, niż użytkowana jako grunt orny. Narzekamy na ubóstwo naszego kraju, a zamykamy oczy na skarby, które pośród nas leżą i nadaremnie czekają ręki, którаby je zechciała podjąć. Opinia nieprzyjazna rozpowszechniona w kraju, wpływa niekorzystnie na rozwój gospodarstw stawowych. Sprostowanie opinii na tym punkcie uważam za potrzebę naglącą i w tym celu udaję się do Szan. Wydziału Tow. Rybackiego, ażeby w drodze właściwej zajęło się tą sprawą. Do ocenienia stanu rzeczy potrzebnem jest wymienić zasady, na których racyonalne gospodarstwo stawowe jest oparte. Gospodarstwo stawowe wymaga, ażeby powierzchnia stawów była nieustannie całkiem zalana wodą, niezależnie od dżdżystej czy suchej pory roku; to wymaga następnie, ażeby woda w stawach była nieprzerwanie odświeżaną przez utrzymywanie regularnego dopływu i odpływu. Spuszczanie stawów, w celu połowu ryb, odbywa się w późnej jesieni, bezpośrednio przed nastaniem mrozów. Wszelka więc fermentacya i gnicie znajdującej się w stawach roślinności, przerywane zostają obniżeniem się stanu temperatury. Stawy, z natury rzeczy, zakładane bywają w najniższych położeniach, które w znacznej części bywają bagnistemi. Miejsca bagniste niezdatne są do uprawy i mogą być tylko użytkowane jako torfiaste i kwaśne łąki. W tym stanie dzikim wystawione są na ciągłe działanie wody zaskórnej *(Grundwasser)*, która tak ważną przy hygienie odgrywa rolę Woda zaskórna w tych miejscowościach nie wysycha do szczętu nigdy, ale poziom jej podczas gorącej pory roku ciągle się zmienia. Przy opadaniu powoduje gnicie miejscowej roślinności i staje się gniazdem i źródłem miazmatów. Bagna te zamienione na stawy, przykryte zostają grubą warstwą przepływającej wody, która dotychczasowy ferment i gnicie radykalnie przerywa. Tomice dnia 17. Września 1884 r. Aleksander Gostkowski".

Podanie to przedłożyło Tow. Rybackie krakowskiemu Towarzystwu Lekarskiemu z prośbą o fachowe orzeczenie, czy stawy są zdrowiu ludzkiemu szkodliwe lub pożyteczne? Towarzystwo Lekarskie (ob. „Przegląd Lekarski" 1884 nr. 46. str. 613.) wzięło rzecz pod rozwagę i wydało odezwą z dnia 14. Listopada 1884 r. orzeczenie następującej osnowy:

„W odpowiedzi na pytanie uczynione w szanownej odezwie z dnia 18. Września r. b. l. 970, w przedmiocie poruszonych przez Pana Aleksandra Gostkowskiego, czy stawy na moczarach założone i czystą wodą górskiego potoku zalewane, na których zresztą prowadzi się przemienne gospodarstwo rybne i rolne, szkodzą zdrowiu ludzkiemu, czy też przeciwnie zaradzają zanieczyszczaniu się powietrza miazmatami z bagien pochodzącemi, a przez to powstawaniu chorób w okolicy? mamy zaszczyt odpowiedzieć co następuje: Najnieprzyjaźniejszym dla zdrowia ludzkiego gruntem są moczary czyli bagna, które czasami bywają pod wodą, a czasami znów wysychają; zmiana ta bowiem wilgotności sprzyja gniciu istot organicznych, których wyziewy zatruwają powietrze i szkodzą zdrowiu. O tym szkodliwym wpływie bagien na zdrowie świadczą: panowanie zimnic w sąsiedztwie bagien, większe nasilenie epidemij w tych okolicach, jak również daty statystyczne, zebrane przy poborach wojskowych, według których z popisowych pochodzących z okolic obfitujących w moczary, mniej bywa stosunkowo zdatnych do wojska, niż z innych okolic. Do zapobieżenia tym szkodliwościom moczarów i bagien już w wieku zeszłym tak wielką przypisywano wagę, iż dekretem Galicyjskiego gubernatora z dnia 9. Sierpnia 1787 r., zapewniono każdemu własność moczarów, które przemieni na grunt użyteczny, obok długoletniego uwolnienia od podatków. Pomiędzy różnemi środkami, które służą do unieszkodliwienia bagien i moczarów, niepoślednią gra rolę nawodnienie, t. j. ciągłe utrzymywanie ich powierzchni pod wodą, czyli założenie stawów, o które w tym przypadku właśnie idzie. Jeżeli w ogóle przedstawiać ono może jakieś niebezpieczeństwa dla zdrowia, to na wszelki przypadek są one mniejsze, niż niebezpieczeństwa, jakie płyną z moczarów i bagien nienawodnionych, gdyż przez ciągłe pokrycie istot zdolnych do gnicia warstwą wody niedopuszczającą przystępu powietrza i zmian wilgotności, powstrzymuje się ich rozkład. Jeżeli jeszcze uwzględnimy okoliczności, że warstwa wody będzie dość znacznych rozmiarów, bo tego gospodarstwo rybne wymagać będzie, i że do tego użytą będzie woda górska, ciągle przepływająca, to wypada uznać założenie stawów w miejscu moczarów, nietylko za nieszkodliwe zdrowiu, ale owszem za pożyteczne. Co się zaś tyczy podniesionych zarzutów, a w szczególności posądzania stawów jakoby wydzielały z siebie miazmata, które unoszone przez parę wodną, zatruwają atmosferę i są przyczyną wielu chorób, to te w obec przytoczonych wyżej okoliczności są zupełnie nielogiczne i niczem nieuzasadnione. Jedyną chwilą, w której te stawy szkodzićby mogły, jest czas łowu ryb, wydobywanie stawiarki,

jeżeli w ogóle będzie ono miało miejsce, lub przejście z gospodarstwa rybnego do gospodarstwa rolnego. Ale czas ten przypada w późnej jesieni i w zimie, gdy rozkład w znacznym stopniu powstrzymanym zostaje przez obniżenie się ciepłoty, a więc i możliwe niebezpieczeństwo znacznie musi być ograniczone. Z tych względów należy nietylko w tym przypadku, który dał powód do zasiągnięcia niniejszego zdania, ale w ogóle poczytywać nawodnianie moczarów, racyonalne zaprowadzanie na nich stawów, celem chowu ryb, za zdrowiu odpowiednie i poparcia godne, tem więcej, jeżeli się uwzględni wielkie korzyści, jakie wypływają dla dobrobytu ludności i jej zdrowia, gdy gospodarstwo rybne znajduje się w jakim kraju na wyższym stopniu rozwoju. Dr. A. Kwaśnicki. Prezes Tow. Lek. Dr. Jordan. Sekretarz Tow. Lek".

W obec tego orzeczenia Towarzystwa Lekarskiego, za które niech mu będą serdeczne dzięki, można tuszyć, że władze opierając się na niem, wezmą racyonalne gospodarstwo rybne w opiekę przeciw nieuzasadnionym zarzutom opinii publicznej i poprą tym sposobem pożyteczne dążności hodowców ryb.

Roślinne pasożyty ryb.

Z wiosną 1884 roku pojawiła się w Kaniowie [1]) śród karpi, dziesiątkująca takowe epidemia (ob. „Przegląd Lekarski" z r. 1884 nr. 21).

Karpie chore, łatwo wyróżniały się od zdrowych, brakiem swobodnych ruchów, a nadewszystko ranami, gęstą i długą pleśnią porosłemi. Używając mowy miejscowych rybaków chore karpie „chodziły we mchu". „Mech" pokrywający ciało karpi na mniejszej lub większej powierzchni, przedstawiał się jako pilśń biała lub szarawa, złożona z cieniuchnych niteczek, jeden do dwu centymetrów długich. Wolne zakończenia nitek przedstawiały się jako drobne punkciki, błyszczące i białe, drugie zaś końce włókienek tkwiły w nabłonku ryby.

Badanie drobnowidzowe okazało, że „mech" ten składa się ze strzępek grzybów należących do rodziny *Saprolegniae.* Zachęcony przez prof. M. Nowickiego, zająłem się zbadaniem ciekawego i niebezpiecznego pasożyta.

Grzyby do rodziny *Saprolegnicae* należące, są przeważnie roztoczami (*Saprophytae),* t. j. pokarm swój czerpią z rozkładającej się materyi organicznej. Napotykamy je obficie w stawach i sadzawkach na obumarłych owadach, których ciało białą pleśnią obrastają. Wiele rzadszemi są między niemi pasożyty. Pasożytów właściwych *(obligate Parasiten)* w tej grupie dotychczas nie wykazano, wykryto jedynie pasożyty przypadkowe *(facultative Par.).* Zaobserwowano już dawno, że sztucznie zranione traszki lub inne wodne zwierzęta pokrywają się często masą strzępek Saprolegnii, ginącej po zagojeniu się rany, a rozrastającej się szybko po śmierci zwierzęcia. W powyższym wypadku grzyb żywił się sposobem zwykłych roztoczy. Poznano atoli inne wypadki, w których na pozornie zupełnie zdrowych rybach n. p. karaskach (Hoffmann), pojawiały się kępki strzępek grzyba, który rozrastając się żywo zajmował szerszą powierzchnią, a wreszcie powodował śmierć. Powszechną uwagę na pasożytną naturę niektórych Saprolegnii zwróciła wreszcie choroba łososi w Anglii i Szkocyi, która w 1879 roku nie małe wyrządziła szkody, zwłaszcza w górskich rzekach tych krajów. Wtedy pojawił się szereg prac nad biologią obchodzących nas pasożytów, z których zwłaszcza praca Huxleya *(Nature XXV.)* na uwagę zasługuje. Atoli ani Huxley, ani Rutheford, Cooke lub Stirling, których prace nad chorobą łososi w Szkocyi znamy, nie zdołali wszystkich przy podobnych badaniach nasuwających się wątpliwości rozświetlić.

Wątpliwości te dotyczą mianowicie następujących punktów:

1) Czy pasożyt ryb, zwykle *Saprolegnia ferax* nazywany jest identyczny z grzybem pod tą nazwą przez Pringsheima opisanym, a należącym do roztoczy *(Sapro phytae)?*
2) Czy jest on stałym pasożytem, czy też tylko w pewnych warunkach napastuje ustroje żywe?
3) Czy grzyb jest pierwszą przyczyną epidemii, czy też osadza się jedynie na szczególnie zmienionych, a więc chorych osobnikach?

W celu wyjaśnienia powyższych pytań spornych przedsięwziąłem, korzystając z choroby karpia, szereg poszukiwań i doświadczeń, których wyniki w streszczeniu podaję.

Badając strzępki obrastające bliskie śmierci karpie, łatwo dostrzeżemy, że należą one do kilku różnych gatunków a nawet rodzajów. Obok nitek do rodzaju Saprolegnia należących, są inne z rodzajów pokrewnych *Achlya* i *Leptomitus.* Rozpatrując karpie mniej lub więcej obrosłe, dojdziemy do spostrzeżenia, że tylko ryby od dawna chore, szerokiemi i głębokiemi pokryte ranami, wszystkie trzy rodzaje pasożytów posiadają. Przeciwnie na osobnikach o chorobie mniej rozwiniętej, naróżnobyśmy szukali rodzaju *Leptomitus*, a okazy świeżo zarazą dotknięte na swej powierzchni, jedynie rodzaj *Saprolegnia* wykazują. Przeto trzy grzyby nie występują na powierzchni karpia jednocześnie, ale kolejno, tak, że po wystąpieniu *Saprolegnii* pojawia się *Achlya*, a w końcu dopiero *Leptomitus.* O przyczynach tej kolejności nie wiele da się dokładnego powiedzieć, atoli i tu doświadczenie daje nam pewne wskazówki. Ryby, w skutek epidemii zdechłe, w drugim lub trzecim dniu po śmierci badane, okazują na swej, wtedy już gnijącej powierzchni, wyłącznie niemal *Leptomitus*, ryby zaś żywe, chorobą niebardzo dotknięte, o powierzchni ciała pozornie normalnej, pokryte są pilśnią z nitek *Saprolegnii* złożoną. Wniosek oczywisty, że gatunek *Leptomitus* wymaga do życia materyi organicznej, w rozkładzie będącej, gdy *Saprolegnia* bardzo dobrze rostuje na podłożu żywem. Rodzaj *Achlya* okazuje własności pośrednie.

W celu zbadania w mowie będących grzybów, przedsięwziąłem szereg hodowli metodą przez de Bary'ego wytkniętą. Na szkiełku przedmiotowem umieszczałem w kropli wody jeden zarodnik, albo koniec nitki z jedną zarodnią danego gatunku, obok zaś umieszczałem nogę muchy lub kawałeczek wygotowanego mięsa. Na takiem podłożu rozwijały się wybornie wszystkie trzy grzyby, atoli *Achlya* i *Leptomitus* najlepsze na mięsie cielęcem dawały rezultaty, *Saprolegnia* zaś na muchach lub innych owadach zwłaszcza wodnych.

Przechodząc do pojedynczych gatunków, pasożytna na karpiach *Saprolegnia* zgadza się najzupełniej z gatunkiem przez Pringsheima *Saprolegnia monoica* nazwanym. Po kilkudniowem owocowaniu bezpłciowem tworzy nasiona, t. j. oospory w sposób szczegółowo i dokładnie przez Pringsheima i de Bary'ego opisany. Jest ona żywicielem w ogromnej liczbie okazów pojawiających się w jej wnętrzu pasożytów roślinnych z grupy skoczkowatych *(Chytridiaceae)* a mianowicie gatunków *Olpidiopsis Saprolegniae* A. Br. oraz *Woronina* sp.

[1]) Przy ujściu Białki do Wisły.

Hodowany na szkiełkach przedmiotowych zmienia znacznie swój pokrój i zgadza się się wtedy z formą opisaną przez H. Leitgeba jako *Diplanes saprolegnioides*, zjawisko, obserwowane już przez de Baryego, Cornu i Pringsheima.

Między strzępkami powyższego grzyba, w chwili, gdy jego wegetacya słabnąć zaczyna, napotykamy nitki znacznie dłuższe, grubsze i sztywniejsze, należące do rodzaju *Achlya*.

Budowa zarodników trwałych, czyli oospor odróżnia go od pokrewnych gatunków *A. cornuta* Archer i *A. spinosa* de Bary, z któremi razem tworzy dobrze odgraniczoną grupę *Cornutae*. Oospory powstają stale na drodze bezpłciowej i dlatego należałoby im przez analogią do podobnych zjawisk w grupie pleśniaków dać nazwę *aoospor*. Błona oogoniów jest nierówna, ale jak u *A. spinosa* kilkoma stożkowatemi lub zaokrąglonemi wypustkami uzbrojona. Oospory liczne (w liczbie 8—25), jak u wszystkich gatunków tego rodzaju gładkie. Od *A. cornuta*, gatunku zasługującego na ponowne zbadanie, różni się temi samemi co i *A. spinosa* cechami nadto bardzo licznemi oosporami, od ostatniego gatunku wyróżnia się stale bezpłciowo tworzącemi się oosporami Zarodnie i zarodniki powstają w sposób dla rodzaju *Achlya* cechujący. W pewnych atoli warunkach, niektóre zarodnie jednej nitki, tworzą zarodniki w sposób po dobny temu, jaki Leitgeb i Lindstedt zaobserwowali u rodzaju *Dictyuchus*, t. j. zarodniki kiełkują i opuszczają błonę wewnątrz zarodni. Podobne zjawisko obserwował już Pringsheim, małą jednak do niego przywiązywano wagę. Nadto w niezbadanych bliżej warunkach zarodniki, nie opuszczając błony zarodni, kiełkują w sposób przez de Baryego dla rodzaju *Aplanes* cechujący, często jedne zarodnie tej samej nitki tworzą zarodniki jak *Achlya*, inne jak *Aplanes*.

Cechy powyższe odróżniają ten gatunek od dwu wspomnianych wyżej form pokrewnych i dlatego nazywam go imieniem szanownego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, któremu kultura ryb u nas tak wiele zawdzięcza, *Achlya Nowickii*.

Zarodniki trwałe, czyli aoospory tworzy on bardzo rzadko, natomiast już w chwili tworzenia się zarodników, pojawia się inny grzyb na rybie, mianowicie osławiony badaniami Goepperta *Leptomitus lacteusa Ag.* Rośnie on nadzwyczaj prędko i po kilku dniach tworzy gęstą i zbitą grzybnię niedozwalającą rozwijać się dwom poprzednim pasożytom. Historyą rozwoju ostatniego grzyba. prace Pringsheima i Hildebranda wyświetliły w znacznej części, atoli zarodników trwałych, ani powyżsi badacze, ani ja mimo oglądania bardzo licznych okazów i długotrwałej hodowli nie znalazłem. nie mogę przeto stwierdzić przypuszczenia Pringsheima, który *Leptomitus brachynema* Hild. uważa za owocujący płciowo *L. l cteus Ag.*

Do rozwiązania pozostaje pytanie, czy wspomniane grzyby są bezpośrednią i jedyną przyczyną słabości ryb, czy też pojawiają się jedynie na osobnikach dotkniętych jakąś inną wewnętrzną. ogólną chorobą. Stanowczej odpowiedzi na to pytanie dostarczyć może jedynie sztuczne zarażanie. Próby de Bary'ego w tym kierunku pozostały bez skutku. Hodował on, jak w drugiem wydaniu swej znakomitej „Morfologii i biologii grzybów“ wspomina, złote rybki w naczyniu, w którem umyślnie rozmnażał liczne Saprolegnije. Mimo jednak że wspomniane rybki według spostrzeżenia Hoffmanna mykozie saprolegniowej podlegają, nie zdołał jej de Bary tym sposobem, mimo kilkumiesięcznej kultury wywołać. Moje doświadczenia do takiego samego doprowadziły rezultatu. Do pletw karpi zdrowych, przywiązywałem muchy z bujnie owocującemi Saprolegniami i Achlyjami, atoli mimo kilkakrotnych prób ryb zarazić nie zdołałem. Nawet karpie o nabłonku, zniszczonym ługiem potasowym lub amoniakiem, nie ulegały zarażeniu. Doświadczenie powyższe, skombinowane z faktem, że w stawach w ryby obfitych, zawsze wielka liczba Saprolegnii się znajduje, rybom nie szkodliwych, skłaniałyby nas do przypuszczenia, że grzyby z grupy *Saprolegniae* nie szkodzą rybom zdrowym, ale osadzając się i rostując na rybach chorych, nadmierną swą wegetacyą, tworzeniem rozległych ran i t. d. są ostateczną przyczyną ich śmierci. Aby to przypuszczenie stało się wynikiem, należałoby wykazać, jakie chorobowe zmiany ryb umożliwiają osadzanie się i rozwój dalszy Saprolegnii, co atoli jest zadaniem nie botanika, lecz patologa.

Maryan Raciborski.

INSERATY.

ŁOWCA KALENDARZ

MYŚLIWSKI I RYBACKI

na rok 1885.

ROCZNIK II.

Nieco rozszerzony, z nowym działem literackim. w ozdobnej oprawie.

Cena zniżona 1 złr., 2 marki, 1 rubel.

Zamówienia przyjmuje Sekretarz Towarzystwa łowieckiego i księgarnia Sejfarta i Czajkowskiego we Lwowie.

„HODOWCA“

pismo tygodniowe ilustrowane, poświęcone hodowli inwentarza żywego, sportowi i weterynaryi popularnej.

Wychodzić będzie w 1885 r. w znacznie powiększonych rozmiarach, bez podniesienia ceny prenumeracyjnej.

Nader obszerny program „Hodowcy“ pozwala wyczerpująco traktować i poruszać kwestye pierwszorzędnego znaczenia, a zadaniem pisma jest: współdziałać w podniesieniu u nas hodowli. wskazywać nowe drogi i powoływać do życia zaniedbane gałęzie rolnictwa. powiększające wartość i dochód majątków ziemskich, pośredniczyć między producentami i ogółem publiczności, a także udzielać pytającym rolnikom wyczerpujące rady. Współpracownictwa w „Hodowcy“ przyjmują najpierwsze powagi naukowe.

W 1885 r również przeznacza się dla rocznych prenumeratorów do rozlosowania

Wielkie premium,

Ogier rozpłodowy rasy ardeńskiej,

uznanej za nader odpowiednią do poprawienia naszych koni roboczych.

W osobnym dodatku drukować się będzie dzieło znakomitej wartości A. Brownsforda p. t.: ***Podręcznik do racyonalnego żywienia zwierząt gospodarskich.***

Prenumerata wynosi rocznie: w Warszawie rs 5, na prow. i w Cesarstwie rs. 6., w Galicyi 8 złr., w W. Ks. Poznańskiem 16 marek.

Za dodatek dopłaca się rs. 1 za całość.

Adres Redakcyi: *Warszawa, Hoża l. 30.*